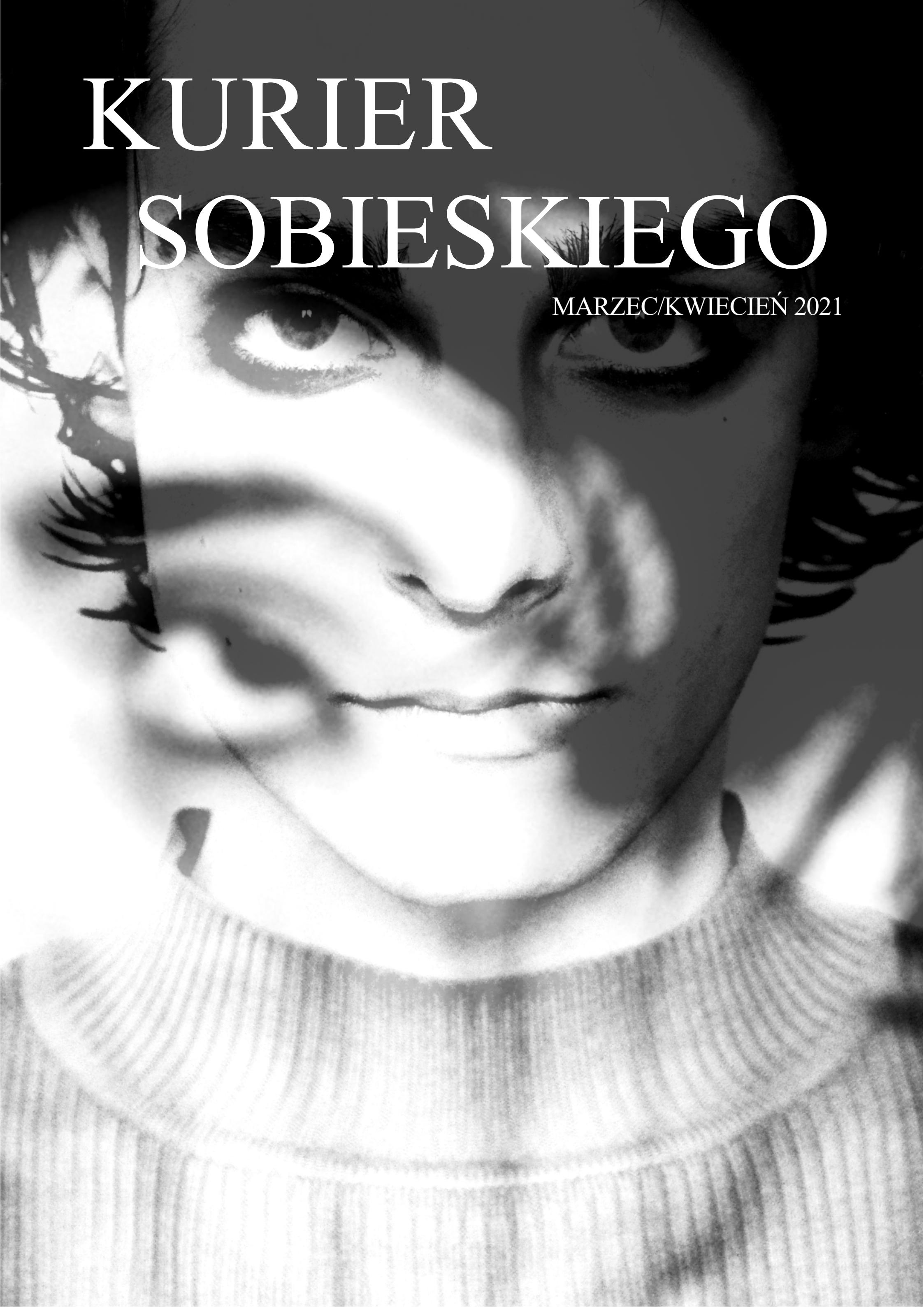


KURIER SOBIESKIEGO

MARZEC/KWIECIEŃ 2021





BACHA SKORUPSKA



MARIA LUDWISIAK



PROF. DOROTA SECH



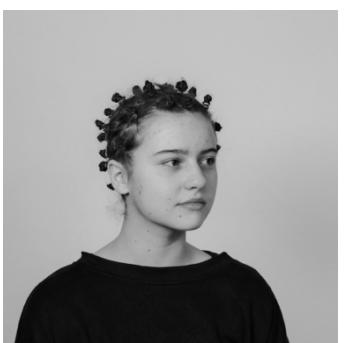
ALEKSY JAKUBIEC



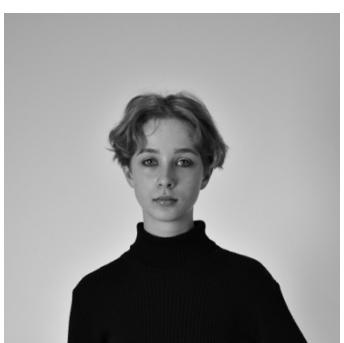
JANEK WYRZYKOWSKI



NATALIA
WALESIENIUK



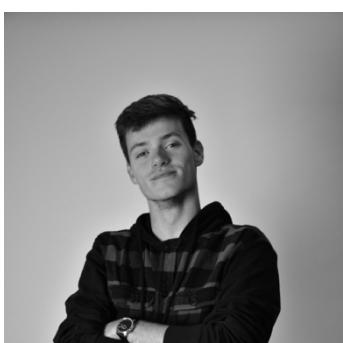
GOSIA MĄKA



MILENA KRAWCZYK



AMELIA SKRZYPczAK



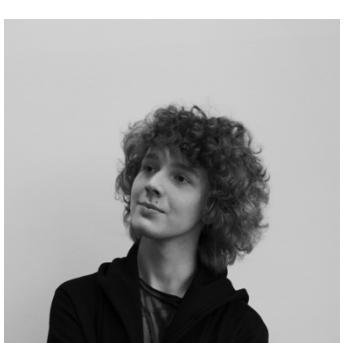
JAKUB ŁASICKI



BARBARA
WERPACHOWSKA



KOSMA
KOSIERKIEWICZ



PIOTR JURCZYŃSKI



BARBARA WITAN



MAJA KRAWCZYK



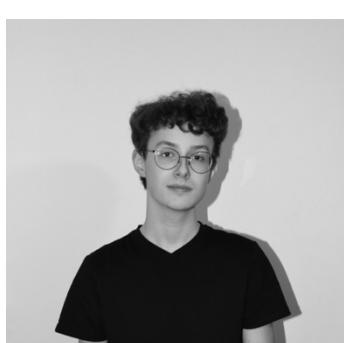
JULIAN STACHOWSKI



STANISŁAW KLARECKI



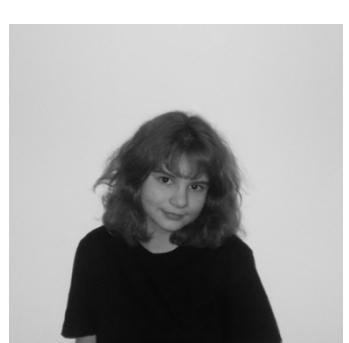
HELA GRABICKA



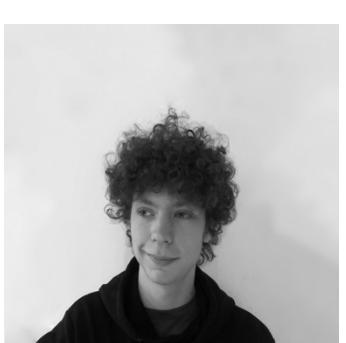
FILIP PAR DYAK



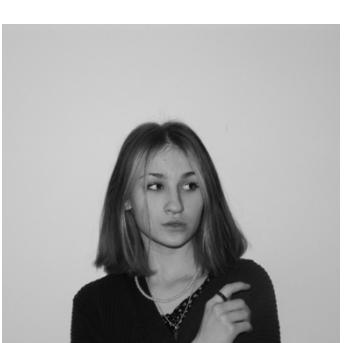
JULIA POPŁAWSKA



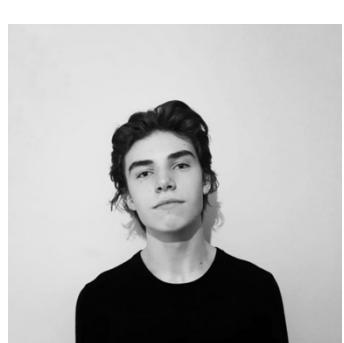
JULKa GUZANEK



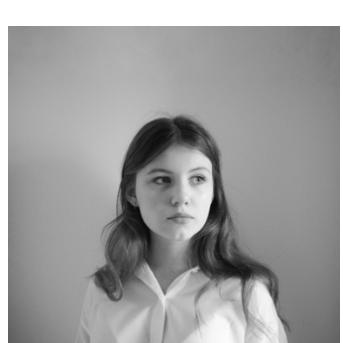
FRANEK RYSZKO



LENA GRYGUĆ



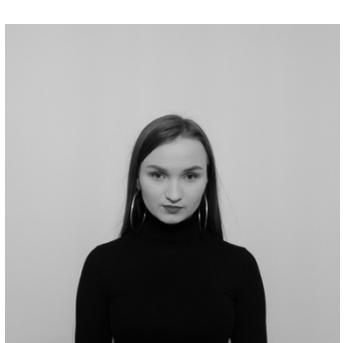
KUBA BOBER



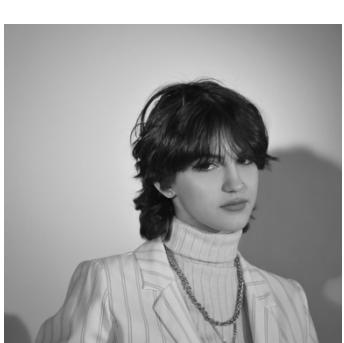
MARIA JAZOWNIK



MARYSIA DUBIELECKA



DOROTA PISAREK



JULKa KOMINEK



OLIWIA PIÓRKOWSKA

SŁOWEM WSTĘPU

Gdy przypominam sobie, jak wyglądało pierwsze spotkanie redakcji Kuriera Sobieskiego, myślę jedno – to nie miało prawa się udać. Kilka nieznajomych osób (niektórzy twierdzą, że sześć, mi się wydaje, że było nas więcej), zgromadzonych przez ojca założyciela – Aleksego, siedziało na ławkach i krzesłach rozsianych po sali lekcyjnej. Przy białej tablicy dwie najbardziej charyzmatyczne osoby jakie poznałem w życiu – pani prof. Dorota Sech i wyżej wspomniany Aleksy, przekrzykiwały się, nie dawały sobie wzajemnie dojść do słowa i zapisywały luźno rzucone pomysły różnokolorowymi markerami. Dwugodzinne spotkanie przyniosło jednak oczekiwany efekt. Utworzył się pierwszy skład redakcji Kuriera Sobieskiego, a Maria i Bacha, wtedy jeszcze nic niewiedzące o pracy nad składaniem tekstów, zostały obdarowane najważniejszą rolą w redakcji – zadaniem o to, aby Kurier był piękny. Od tamtego spotkania popłyneliśmy. Maria przejęła stery, stała się kapitanem, a załodze udało się wydać pierwszy numer. Na pierwszym spotkaniu Goha* nie chciała, żeby jej zdjście było na okładce. Od tamtej pory na każdej okładce jest zdjście, które zrobiła Goha. Teraz Goha nie chce zrobić mi zdjęcia na okładkę. Podczas tamtego pierwszego spotkania właściwie tylko Kuba wiedział, o czym chce pisać – chciał pisać o Warszawie, pisze o Warszawie, nawet ma na ręce napisane „Warszawa”. A, i jeszcze Baha** – od razu powiedziała, że napisze o Draculi. Ja nie wiedziałem, o czym chcę pisać – postanowiłem przygarnąć „dział ogłoszeń drobnych” który, na szczęście, nie jest już działem ogłoszeń drobnych. Obecnie ludzie mi zazdroszczą, że mam własny dział.

TERAZ KURIER TO PONAD DWUDZIESTOOSOBOWA REDAKCJA, W KTÓREJ STWORZYLIŚMY STRUKTURĘ. Stajemy się profesjonalni. Bierzemy się za coraz poważniejsze projekty. Mamy preźniej działający dział social media (dzięki, Stasiek), wspólną stronę internetową i (nareszcie) odpowiedzialnego człowieka, który naprawdę świetnie się nią zajmuje (dzięki, Franek). Wszystko pięknie działa.

Ten tekst zrobił się bardzo wspominkowo-nostalgiczny. Dlaczego? Bo to ostatni (albo przedostatni) numer Kuriera, który robimy w takim składzie. Znaczna część redakcji, ludzi, od których wszystko się zaczęło, przygotowuje się już do matury. Następny Kurier będzie wydawany najpewniej po tym, kiedy ją napiszą.

Ten wstępniak to podziękowanie dla osób, które stworzyły Kuriera. Dzięki Aleksy za to, że wszystko zacząłeś, za zebranie nas, uzgadnianie wszystkiego z drukarnią przy pierwszych numerach. Dzięki Mario za najpiękniejsze rozpiski, organizację ludzi, bycie najlepszą redaktorem naczelną oraz dbanie o to, żeby Kurier był piękny. Za to ostatnie dzięki też tobie Bacha – bez Ciebie Kurier nie byłby taki świetny, dzięki za to, że tak dzielnie go składałaś. Dziękuję wszystkim redaktorom. Dzięki Kosma, Basia, Zosia, Piotrek, Kuba – za wasze świetne teksty, uwielbiam je. Wszyscy jesteście filarami Kuriera, to jak on teraz wygląda, jest Waszą zasługą. W imieniu nowoutworzonego zarządu obiecuję, że zostawiacie go w dobrych rękach. Będzie jeszcze lepiej, więcej, bardziej – to obiecuję też czytelnikom. Duże projekty, współpraca z innymi – tym będziemy zajmować się w najbliższym czasie. Chcemy być prawdziwym głosem warszawskiej młodzieży. Za sprawą nowoprzyjętych redaktorów tekstów w Kurierze jest coraz więcej i są coraz bardziej oryginalne i różnorodne. Czego więc macie się spodziewać po tym wydaniu?

W tym numerze znajdziecie między innymi wywiad z Piotrem Kędzierskim i Bartkiem Czarkowskim z newonceradio oraz odpowiedź na pytanie, co jazz ma wspólnego z ekologią. Poza tym: rozmowę z reporterem wojennym Pawłem Pieniążkiem, recenzję Netflixowych nowości (m.in. *Malcolm & Marie* i *Wszyscy moi przyjaciele nie żyją*) oraz najgorszego filmu 1997 roku – *Gummo*. Mamy dla was także obszerny tekst o legendarnym Almamerze i zbiór warszawskich szylków. Do tego recenzja powieści szkatułkowej *Grobowa cisza, żałobny zgiełk*. Przynajmniej, to brzmi zachęcająco – wszędzie śmierć, brud i dyskomfort – takimi słowami podsumowała to Goha, gdy zobaczyła, jakie teksty pojawią się w nowym numerze Kuriera.

Na początku pomyślałem, że to źle. Tak nie powinno być – powinniśmy być pozytywni, powinniśmy szukać tych radosnych rzeczy. Jeśli jednak takie myśli nam towarzyszą i takie tematy się przewijają – nie bójmy się ich. Jeśli coś powoduje w nas dyskomfort (tak jak oglądanie *Malcolm & Marie* na przykład) albo przerasta (jak patrzenie w pusty szyb windy Almamera), albo obrzydza (jak niektóre sceny we *Wszyscy moi przyjaciele...*), albo zasmuca (jak wojna), możemy o tym powiedzieć. Ten numer Kuriera może być momentami brudny i trudny, ale właśnie to czyni go ciekawym.

*zapis stylizowany na wyraźną prośbę redaktora Gohy

**jak wyżej

REDAKTOR NACZELNY:

JANEK WYRZYKOWSKI

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:

NATALIA WALESIENIUK

OPIEKA MERYTORYCZNA:

PROF. DOROTA SECH

WSPARCIE MERYTORYCZNE:

MARIA LUDWISIAK

BACHA SKORUPSKA

PROJEKT I WYKONANIE:

NATALIA WALESIENIUK

JULKA KOMINEK

MARYSIA DUBIELECKA

JULKA GUZANEK

JANEK WYRZYKOWSKI

KOREKTA:

PROF. DOROTA SECH, BARBARA WITAN

PROJEKT I WYKONANIE OKŁADKI:

MILENA KRAWCZYK

ZDJĘCIE OKŁADKOWE:

MILENA KRAWCZYK

NA OKŁADCE:

BARTEK KRAWCZYK

SESJA SZYLDY:

ŁUCJA STASZCZYSZYN, JULIAN STACHOWSKI

STRONA INTERNETOWA:

FRANEK RYSZKO

PATRONAT:

DYREKTOR MAGDALENA KOCHEL

**NEWONCE.RADIO TO MŁODZIEŻOWE RADIO
PRZEPEŁNIONE GADANYM AUDYCJAMI
O PRZERÓŻNYCH TEMATACH, PRZEPLATANYCH
Z NAJLEPSZĄ MUZYKĄ. JEDNAK JAK POWSTAŁO
I JAK TO WSZYSTKO WYGLĄDA OD ŚRODKA? O TYM
W ROZMOWIE Z NATALIĄ WALESIENIUK
OPOWIEDZIELI PIOTR KĘDZIERSKI ORAZ BARTEK
CZARKOWSKI. ROZSIAĐCIE SIĘ WYGODNIE.
OPROWADZIMY WAS PO RADIU.**

**NATALIA: SKĄD POMYSŁ NA STWORZENIE
NEWONCE.RADIO? JAK DŁUGO TRWAŁ
PROCES TWORZENIA PLATFORMY?**

BARTEK CZARKOWSKI: Mogę Ci to mniej więcej nakreślić. Z Piotkiem Kędzierskim dwukrotnie pracowaliśmy w mediach razem. Piotrek zaczął kontaktować się ze mną, że chce znowu zrobić radio, prawdziwe, nie takie, w którym pracuje. Mieliśmy robocze spotkania raz na jakiś czas. Przyznaję, że brałem trochę te spotkania za bardziej towarzyskie, niż posuwające nas do przodu w kontekście uruchomienia jakiekolwiek stacji (*śmiech*). Nie zastanawialiśmy się nad możliwościami, które dawał nam Internet. W końcu Piotr dotarł do newoncę, którego szefem i założycielem jest Miha Michalski, i został jego współwłaścicielem. Z tego, co opowiadał, zaczął Mihowi wiercić dziurę w brzuchu, że koniecznie trzeba założyć radio. Udało mu się przekonać Miha do startu radia internetowego. Wystartowało ono w marcu 2018 roku, wtedy jeszcze jako młodszy brat, bądź młodszego siostra, popularnego portalu newoncę (*śmiech*). Obserwowałem to wszystko z boku, byłem zajęty własnym życiem zawodowym. Ale latem 2018 roku dostałem propozycję, aby zostać dyrektorem programowym i rozpocząć pracę nad tym internetowym bytem na poważnie. Miałem 2–3 dni z wahania, jednak podjąłem decyzję, że porzucam swoje dotychczasowe rzeczy zawodowe i podłączam się do chłopaków. 1 października 2018 roku ruszyła oficjalnie ramówka newoncę.radio. Było to dla nas ogromne wyzwanie, jednak kiedy patrzę na nie z poziomu grudnia 2020 i tego, jak wszystko się rozrosło, to było nic.



NA ZDJĘCIU: TYCJANA ACQUASANTA, JACEK SOBCZYŃSKI, BARTEK CZARKOWSKI

**W PORÓWNANIU DO INNYCH PLATFORM INTERNETOWYCH NIE
PREZENTUJECIE NA SWOJEJ ANTENIE SERWISÓW INFORMACYJNYCH,
SKUPIACIE SIĘ PRZED WSZYSTKIM NA GRANIU MUZYKI. DLACZEGO
ZDECYDOWALIŚCIE SIĘ NA ODMIENNĄ FORMĘ RADIA?**

PIOTR KĘDZIERSKI: Jest to jedyna różnica między nami a stacjami naziemnymi, tradycyjnymi. To kolejny etap ewolucji. Trzeba mieć również zasoby ludzkie, aby zrobić serwisy informacyjne, bo wymagają przede wszystkim dużo pracy. Chwilowo zarówno logistycznie, jak i technologicznie oraz lokalowo nie jesteśmy w stanie tego przeprowadzić. Jednak moją ideą są takie serwisy, oczywiście w naszym newoncę'owym stylu. Mam nadzieję, że to się wkrótce wydarzy. Czy muzyka jest najważniejsza? Na pewno od muzyki wszystko się wzięło, a potem z tego pnia zaczęły wyrastać gałęzie. Rozrosły się przede wszystkim w różnych kierunkach, bo nie jest to już wyłącznie hip-hop, ale także muzyka elektroniczna i audycje autorskie wielu artystów. Cieszy nas, że to drzewo się rozrasta. Zrobił się z tego taki dąb Bartek (*śmiech*).

BARTEK CZARKOWSKI: Wymyśliliśmy sobie format wyrastający z muzyki hip-hopowej, ze środowiska rapowo-hiphopowego. Wydawało nam się to nieatrakcyjne, aby uczyć młodych ludzi, czym jest radio. Oni raczej odeszli od słuchania tradycyjnego radia. Pomyśleliśmy, że skoro przywołujemy stary byt, nie chcemy tego robić jedynie do jednego, tak jak w innych rozgłośniach. To było nasze założenie od początku. Nie robimy radia z reklamami, serwisami informacyjnymi, sportowymi ani pogodą. Na razie wszystko, co chcemy przekazać słuchaczom, przekazywane jest w naszych programach od godziny 7 i mam wrażenie, że robimy to fajniej, niż kiedy robilibyśmy trzyminutowy serwis z dźwiękami reporterskimi.

**ZASTANAWIAŁ SIĘ PAN NAD TYM, ABY RADIO NIE BYŁO
RADIEM INTERNETOWYM, ALE RADIEM TRADYCJYNYM,
KTÓREGO MOŻNA POSŁUCHAĆ W AUCIE?**

PIOTR KĘDZIERSKI: W ogóle nad tym nie myśleliśmy, bo uważałyśmy, że radio internetowe w tym momencie nie ma już żadnych ograniczeń. Możesz słuchać go w samochodzie dzięki aplikacji, a także z telefonu czy komputera. Nie jest potrzebne w ogóle urządzenie, które sobie wyobrażamy, zamkając oczy i myśląc o radiu.

**W JAKIM WIEKU SĄ SŁUCHACZE NEWONCE.RADIO?
MYSŁI PAN, ŻE PRZEWĀZA TUTAJ MŁODZIEŻ, CZY
SŁUCHACZAMI SĄ TAKŻE OSOBY NIECO STARSZE?**

PIOTR KĘDZIERSKI: Wydaje mi się, że przedział wiekowy obejmuje powyżej 20 aż do 45 roku życia. Jest to bardzo szeroki przedział wiekowy, jeśli chodzi o radio. W przypadku naszego portalu ten podział jest trochę niższy. Sytuacja również inaczej wygląda w portalu newoncer.sport. Radio jest najbardziej demokratycznym bytem, który dociera do bardzo szerokiej grupy osób.

**WŚRÓD WAS ZNAJDUJĄ SIĘ CIEKAWI LUDZIE, KTÓRZY
TWORZĄ RÓŻNORODNE AUDYCJE. W JAKI SPOSÓB
UDAŁO WAM SIĘ ZEBRAĆ TAK ZGRANĄ ZE SOBĄ EKİPĘ
PRACOWNIKÓW?**

BARTEK CZARKOWSKI: Początek był częścią zagospodarowania bliskich nam osób ze środowiska rapowego, którzy wydawali nam się zainteresowani współpracą. Strzelaliśmy, uderzaliśmy i okazywało się, że były to strzały w dziesiątkę. Do kogo się nie odezwałyśmy, spotykaliśmy się z jego strony z pozytywnym odborem, przede wszystkim dlatego, że środowisko to kojarzyło portal newoncer z rzeczą jakościowo fajną, młodą i nową na rynku. Przekonaliśmy Żabsona na tworzenie audycji o trapie. Znalazło się kilka osób, które po prostu się do nas zgłosiły i chciały tworzyć radio. Byli to Kamil Szufladowicz, Nina i Ras. Osobiście zadzwoniłem do Jana-Rapowania, z którym poznałem się kilka tygodni wcześniej i miałem przeczucie, że będzie to duże nazwisko na scenie rapowej. Przeprowadził się dla nas z rodzinnego Krakowa do Warszawy i dołączył do Piotra Kędzierskiego oraz Arka Sitarza w Bolesnych Porankach. To znak jakości i utwierdzenie słuchacza, że newoncer.radio nie jest przypadkową internetową rozgłośnią.

PIOTR KĘDZIERSKI: Moim zdaniem radio musi mieć osobowość. My akurat jesteśmy osobowością hybrydową, ze względu na wszystkich, których tutaj zgromadziliśmy. Często są to ludzie z doświadczeniem. Ja spełniłem także swoje marzenia, bo ściągnąłem ludzi, na których sam się wychował, między innymi Kubę Wojewódzkiego, Agnieszkę Szydłowską czy Maksa Cegielskiego. Myślę więc, że dla dzieciaków jest to fajne, aspirujące medium, gdzie mogą zobaczyć, że ludzie po czterdziestce potrafią mówić coś ciekawego, co co do nich po prostu trafia. Ci, którzy są starsi, dzięki nam są na czasie i to też jest bardzo ważne.

**MA PAN OSOBĘ, Z KTÓRĄ KONIECZNIE CHCIAŁBY
POROZMAWIĄĆ NA ANTENIE NEWONCE.RADIO?**

PIOTR KĘDZIERSKI: Myślę, że po tylu latach w pracy nie mam już takich marzeń. Dla mnie każdy gość jest tak samo ważny. Jestem bardzo przywiązany do słowa „gość”. Jeżeli ktoś jest moim gościem w audycji, to należy mu się szacunek, musi się czuć komfortowo w naszym towarzystwie, a jeżeli już się tak poczuje, to udzieli odpowiedzi na każde pytanie. Cieszę się, że miałem okazję poprowadzić audycje z moimi największymi idolami. Cieszę się również, że udało mi się ściągnąć tutaj wybitne postaci, osoby, którymi prywatnie się jaram. Marzeniem dla mnie jest to, co dzieje się tu i teraz. Na przykład cieszy mnie to, że siedzimy i ze sobą rozmawiamy.

**PODCZAS TWORZENIA PLATFORMY I CORAZ TO NOWSZYCH
RAMÓWEK SPODZIEWALIŚCIE SIĘ, ŻE W PRZYSZŁOŚCI
NEWONCE STANIE SIĘ POWSZECHNIE ZNANE, A WASZE STUDIO
POŁĄCZY SIĘ Z DUŻYM BAREM, W KTÓRYM TERAZ SIĘ
ZNAJDUJEMY?**

PIOTR KĘDZIERSKI: Byłem o tym absolutnie przekonany i uważam, że to nie jest nasze ostatnie słowo, bo wiedziałem, że w takim składzie osobowym nie ma szans, żeby coś poszło nie tak. Myślę, że jest to dopiero początek naszej medialnej drogi.

**CZY PANDEMIA MOCNO ZMIENIŁA WASZĄ ORGANIZACJĘ
PRACY? CZY POCZĄTEK OGRANICZEŃ I BRAKU MOŻLIWOŚCI
SPOTKAŃ Z GOŚĆMI NA ŻYWIE WAS DOTKNĘŁY, CZY
PRACOWALIŚCIE W NORMALNYM TRYBIE?**

BARTEK CZARKOWSKI: Na początku, wraz z rozpoczęciem w marcu kwarantanny, trochę musieliśmy przeorganizować pracę. Mniej osób przychodziło do radia, a goście albo odmawiali, albo decydowali się na komunikatory. Jednak szybko zmieniliśmy tryb pracy na zdalny. Duża część redakcji newoncer to ludzie młodzi, oni inaczej patrzyli na pandemię, na wychodzenie z domów i pracowanie tu na miejscu. Funkcjonowaliśmy normalnie, zapraszaliśmy gości do studia. Kto się decydował na przyjście, ten przychodził, jeżeli nie, łączymy się telefonicznie. Na pewno zyskaliśmy na popularności i słuchalności wraz z pandemią. Ludzie przenieśli się do Internetu, naturalnie przełożyło się to na rozpoznawalność newoncer.radio. Wydaje mi się, że nie straciłyśmy niczego, jedynie zyskaliśmy. Udowodniliśmy sami sobie, że mimo trudności potrafimy sobie dać radę.

PIOTR KĘDZIERSKI: Mam nadzieję, że nam się to udało. Był to dla nas nie tylko etap próby, to był też bardzo trudny okres ze względów ekonomicznych, ale poza tym działały się piękne rzeczy w radiu. Myślę, że dużo ludzi dzięki nam zobaczyło światelko w tunelu i poczuło się o wiele lepiej niż przedtem.

**MYŚLICIE, ŻE JAKO DUŻA ROZGŁOŚNIA RADIOSA, POPULARNA
WŚRÓD MŁODYCH LUDZI, MACIE DUŻY WPŁYW NA ICH
ŚWIATOPOGŁĄD? POKAZUJECIE IM NA PRZYKŁAD, ŻE WARTO
CHODZIĆ NA WYBORY ORAZ WSPIERAĆ BIEŻĄCE SYTUACJE
W KRAJU, TAKIE JAK STRAJK KOBIET.**

PIOTR KĘDZIERSKI: Myślę, że w dzisiejszych czasach nie można być apolitycznym i odcinać się od tego, co dzieje się na ulicy Wiejskiej bądź w Kapitolu w Stanach Zjednoczonych.

Dla nas pewne wartości są ważne i staramy się o tym mówić. Oczywiście nie agitując, kto na kogo ma głosować, ale wydaje mi się, że nasi słuchacze wiedzą, jakie są nasze poglądy. Mimo wszystko nie jesteśmy wszyscy z jednej gliny i każdy z osobna akceptuje to, co nas różni. Pod względem empatii, zaszczepionego w środku humanizmu jesteśmy do siebie bardzo podobni, wręcz identyczni.

BARTEK CZARKOWSKI: Startowaliśmy z poziomu radia muzyczno-rozrywkowego, podejmując decyzję, że nie będziemy podejmować tematów politycznych. Wraz z rozwojem ramówki doszliśmy do wniosku, że nie możemy udawać, że wśród nas nic się nie dzieje. Przecież dzieją się wybory prezydenckie, pandemia, szykanowanie środowisk LGBT, strajk kobiet. Można powiedzieć, że wraz z rozwojem redakcji doroślimy do takich tematów. Zapraszamy socjologów, politologów, dziennikarzy. Dopuszciliśmy do głosu to, w jaki sposób widzimy świat i jak chcemy mówić o wydarzeniach wokół.

MACIE W PLANACH ROZBUDOWANIE AUDYCJI O ASPEKTY WAŻNE DLA MŁODYCH LUDZI? OSTATNIO MOGLISMY USŁYSZEĆ AUDYCJĘ POŚWIĘCONĄ TRUDNYM TEMATOM, TAKIM JAK PRZEMOC FIZYCZNA, PSYCHICZNA ORAZ MOLESTOWANIE.

PIOTR KĘDZIERSKI: Bardzo się cieszę, że możemy robić takie rzeczy. Ja mam takie powiedzenie, że radio newonice „ucząc bawi, bawiąc uczy” i musimy znaleźć złoty środek, uważając na to, aby nie przesadzić w jedną stronę w drugą stronę. Myślę, że tor rozrywkowy jest, ale w odpowiedniej częstotliwości. Rozmawiamy o rzeczach, które są ważne dla nas, lecz przede wszystkim dla naszych słuchaczy. W tej dziwnej sytuacji medialnej, która aktualnie trwa, newonice.radio – paradoksalnie – będąc tworem komercyjnym, robiącym za prywatne pieniądze, ma o wiele więcej misyjnych audycji niż inne stacje komercyjne, nie mówiąc już o misji mediów publicznych, którą wyobrażam sobie zupełnie inaczej, niż wygląda teraz.

BARTEK CZARKOWSKI: Na pewno wróćmy z podcastami realizowanymi z sexed.pl i nadal będziemy poruszać takie wątki jak choroby psychiczne młodych ludzi, to, brak miejsc w szpitalach dziecięcych oraz fakt, że jest to wręcz niezauważalne w mediach mainstreamowych. Dzieciaki lądują w szpitalach psychiatrycznych, popełniają samobójstwa, czują się odrzucone. Nie mówię, że jesteśmy idealni, ale trzymamy rękę na pulsie i z pewnością będziemy podejmować te tematy. Niewiele jest mediów, które udzielają głosu młodym ludziom w trudnych dla nich momentach bądź momentach chwały. Z tych problemów tworzą się czasem wspaniałe rzeczy. Spójrzmy na aplikacje pomocowe, telefony zaufania, grupy wsparcia. Wystarczy odezwać się do nas na Instagramie, a za trzy dni opowiadać o tym na naszej antenie. Taka jest nasza rola i wierzymy, że z roku na rok będzie silniejsza.



NA ZDJĘCIU: KACPER (KVPX6), PIOTR KĘDZIERSKI

NA KONIEC CHCĘ ZAPYTAĆ: JAKĄ RADĘ DAŁBY PAN UCZNIOM NASZEGO LICEUM IM. SOBIESKIEGO, ALE TAKŻE INNYM MŁODYM LUDZIOM, KTÓRZY W PRZYSZŁOŚCI CHCIELIBY PODAŻAĆ WASZĄ DROGĄ?

PIOTR KĘDZIERSKI: Żeby zostać dziennikarzem, trzeba być dociekliwym. Jeżeli nie jesteś ciekawy świata, ludzi, zjawisk, to nie masz czego szukać w tej profesji. Jeżeli nie lubisz czytać książek, słuchać muzyki, oglądać filmów, zarywać nocy, aby się czegoś dowiedzieć, to nie masz w ogóle ani procenta szansy, aby Ci się to udało. Nieważne uczęszczanie do szkoły dziennikarskiej - pomoże ona oczywiście pod względem teoretycznym - ale bez tych cech, o których wspomniałem, które musisz mieć wrodzone czy po prostu wyuczone, nic z tego nie będzie. Potrzebne jest zrozumienie osoby, z którą rozmawiasz, jakie informacje chcesz od niej wyciągnąć. Władysław Bartoszewski na pytanie dziennikarki: „dlaczego pan tak długo żyje?” – odpowiedział: „bo jestem taki ciekawski”. Są to piękne słowa, które nie tyczą się tylko dziennikarzy, ale każdego człowieka. Ważna jest chęć ciągłego uczenia się czegoś, więcej i więcej, z czego rodzi się nałóg i jest to świetne. W dziennikarstwie przydaje się też konsekwencja, wyciąganie wniosków ze swoich czynów, bo uwierz mi, że jest to zawód, który na horyzoncie często szukuje wiele pułapek i musisz uważać, żeby w nie po prostu nie wpaść.

BARTEK CZARKOWSKI: Należy rozwijać swoje pasje, trzeba wykorzystywać szansę i wybijać się na tyle, ile się da. Nie powiem, że jest to łatwe. Do takich osób jak ja i Piotr ciężko jest się czasem dostać, przekonać nas do siebie. To co z mojej perspektywy jest najważniejsze, to pogłębianie swojej wiedzy i czytanie, czytanie, czytanie. To jest to, czego ja i Piotr nie dostrzegamy u młodych ludzi. Jest to brak wiedzy. Jeżeli chcesz zostać dziennikarzem radiowym, ale podejrzewam, że również telewizyjnym albo prasowym, to niestety nie możesz bazować na wiedzy „tu i teraz”. Trzeba się w niej cofnąć o parę dekad. Po drugie, musisz być uniwersalny. Musisz wiedzieć coś o sporcie, przeczytać dużo książek, obejrzeć masę filmów. Wiedzieć, kim był Diego Armando Maradona, kim była księżna Diana i wiedzieć, kim jest Travis Scott. Takie jest życie dziennikarza, bez tego nie da się prowadzić mediów w 2020 roku. Media, jakie my chcemy tworzyć, pragniemy współtworzyć z ludźmi, którzy owszem nie muszą być omnibusami, ale muszą chcieć się rozwijać i robić to samodzielnie. Proces samorozwoju musi wynikać z aspiracji człowieka. Podsumowując, najważniejsza jest chęć samodoskonalenia. To dość trywialne stwierdzenie, ale taka jest prawda.

ZE STAREJ DO NOWEJ SZKOŁY NIEDALEKA DROGA

KILKA LAT TEMU ŚRODOWISKO POLSKIEGO HIP-HOPU PODZIELIŁO SIĘ NA DWA STRONNICTWA W SZEROKO DYSKUTOWANYM WIELKIM SPORZE. DOTYCZYŁ ON PODZIAŁU RAPERÓW NA WIERNYCH STAREJ SZKOLE HIP-HOPU, CZYLI TZW. OLDSCHOOLowi. KRYTYKOWALI ONI TYCH STOJĄCYCH PO DRUGIEJ STRONIE, CZYLI MŁODYCH RAPERÓW TWORZĄCYCH NEWSCHOOL. NIEKTÓRZY STARZY RAPERZY POPARLI JEDNAK MŁODYCH I SAMI TWORZĄ NEWSCHOOLOWĄ MUZYKĘ. SĄ WŚRÓD NICH LEGENDY, KTÓRE DZIŚ NIE USTĘPUJĄ MŁODYM I WARTO POZNAĆ ICH HISTORIĘ.

Podstawową różnicą między starą a nową szkołą rapu jest sposób produkowania i brzmienia bitów. W oldschoolowej, czy inaczej trueschoolowej, wersji rapu bit opiera się głównie na wysamplowanych dźwiękach z innego utworu muzycznego, które następnie służą do stworzenia zupełnie nowej muzyki. W nowszych brzmieniach bity tworzone są od podstaw przy pomocy wtyczek do komputerowych programów. Newschool odchodzi także od klasycznego brzmienia hip-hopowej perkusji, zastępując ją dźwiękami modyfikowanymi komputerowo. Właśnie rozwój techniki produkowania muzyki umożliwił raperom modyfikację jej brzmienia. W newschoolu zmieniają się nie tylko dźwięki w bitach, ale efekty takie jak *autotune*, nakładane są także na głos raperów. Dzięki takim wariacjom na przestrzeni lat wytworzyło się wiele nowych podgatunków rapu, takich jak grime, g-funk czy trap. Niektórzy raperzy starej daty idą z duchem czasu i zmieniają swoją muzykę z oldschoolu na *newschool* i nie raz radzą sobie lepiej niż młode pokolenie. Oto kilka wybranych przeze mnie przykładów.

TEDE

Tede to jeden z najbardziej płodnych raperów w Polsce. Od 2001 roku wydał już 17 albumów, a niedawno zapowiedział premierę 18. Od początku kariery w 1994 roku był jedną z głównych postaci warszawskiej sceny rapu i tworzył podwaliny polskiego hip-hopu jako członek legendarnego zespołu Warszafski Deszcz oraz wydając pierwszą solową płytę uznawaną za jedną z najważniejszych w polskim rapie (*S.P.O.R.T.*). W 2001 r., przewodząc grupie Gib-Gibon skład, wygrał chyba najważniejszą bitwę freestyleową w historii Polski. Od początku solowej kariery działał niekonwencjonalnie i łączył oldschoolowy rap z refrenami popowych artystek, takich jak Natalia Kukulska. Był także pierwszym raperem w Polsce, który otwarcie mówił o wielkich pieniądzach zarabianych na muzyce, rapował o nich, a także prowadził swój program *Operacja tuning* w TVN Turbo. Jego album z 2003 r. nosi tytuł 3H: *Hajs, Hajs, Hajs*. W tamtych czasach nie podobało się to innym raperom, którzy utrzymywali oldschoolowe brzmienia i przekonanie, że raper musi pochodzić z biednej rodziny i nie zarabiać na muzyce, a tworzyć ją wyłącznie z pasji. W 2009 roku jako pierwszy w Polsce użył autotune'a, co wywołało duże oburzenie raperów, a dziś tego efektu używa prawie każdy. W 2010 roku rozpoczął współpracę z producentem Sir Michem. W duecie wydają do dziś, rewolucjonizując po drodze polską scenę rapu. Albumy *Elliminati*, *Kurt Rolson* i *Vanillahajs* z lat 2013–2015 rozpoczęły erę wszechobecnego newschoolu w Polsce. Pochodzą z nich utwory takie jak *Melo Inferno*, *Michael Kors*, *Ostatnia noc*, czy *CMRT* które zna każdy fan rapu w Polsce. Tedego cechuje nieoglądanie się na opinię innych i tworzenie własnej, oryginalnej muzyki. Hitem lata 2019 był jego kawałek *Bielye nosy*, a ostatnia płyta *Disco Noir* bazuje na hip-hopowych bitach w stylu rosyjskiego techno.

PEZET

Pezet zadebiutował w 1998 roku, zakładając wraz z Onarem zespół Płomień 81 funkcjonujący do dziś. Co ciekawe, w sporze między oldschoolowcami a newschoolowcami Pezet nie obierał strony, a Onar był jednym z głównych propagatorów oldschoolowej myśli. W latach 1998–2012 Pezet był jednym z czołowych polskich raperów, a jego albumy *Muzyka klasyczna* i *Muzyka poważna* z tamtego okresu do dziś uznawane są za klasyki oldschoolu. Skręt w stronę newschoolowych brzmień wykonał już w 2007 roku, więc jako jeden z pierwszych w Polsce. Na płycie *Muzyka rozrywkowa* w kawałku *Nie tylko hit na lato* nawet sam zastanawia się, czy jego muzyka to jeszcze trueschool, czy już nie. Bez zastanowienia można stwierdzić jednak, że prawdziwym newschoolem jest płyta *Radio Pezet* z 2012 r. Znajdują się na niej kawałki wyprodukowane przez Sidneya Polaka w czysto dubstepowym stylu. Numery *Supergirl* i *Slang 2* były bardzo przełomowe w tamtym czasie, a sam raper po latach przyznał, że polscy słuchacze nie byli jeszcze przygotowani na takie brzmienia. Po spowodowanej chorobą kręgosłupa przerwie powrócił z albumem o wymownej nazwie *Muzyka współczesna*, na której kawałki jak *Magenta*, *Gorzka woda* czy *Obrazy Pollocka* są przykładami newschoolu z połączeniem oldschoolowego sposobu rapowania.

TEN TYP MES

Mes pierwsze kawałki zaczął wydawać wraz z Emilem Blefem jako zespół Flexxip, który działał od 2000 roku. Od początku był popularnym raperem, zapraszanym na mixtapy, które dziś uznawane są za wielkie klasyki, jak np. *Kodek 2: Proces*. Zawsze wyróżniał się stylem ciągnącym jego rap w bardziej muzykalną stronę niż klasyczny hip-hopowy *boom bap*. Newschoolem nazwałbym jednak dopiero niektóre kawałki z jego płyty *Trzeba było zostać dresiarzem* wydanej w 2015 roku, wśród nich na pewno wyróżnia się utwór *LOVEYOURLIFE*. W 2018 roku Mes wydał album *Rapersampler* i dodatek do niego *Rapersampler+*, gdzie każdy kawałek jest wyprodukowany w całości przez niego. Klasyczne samplowane bity korespondują tu z nowoczesnymi komputerowymi dźwiękami, które spotykają się w kilku numerach, np. *Kaczki* oraz *LA PT. 2*. W 2020 roku Mes wydał płytę *Biały Tunel*, która reklamowana była nawet jako skręt rapera w autotune i newschoolowe bity. Mes jest również jednym z nielicznych raperów, którzy często koncerty grają z żywymi instrumentami na scenie. Jego newschoolowość nie polega jedynie na wykorzystywaniu nowoczesnych bitów, a raczej na niecodziennym flow, które rap zamienia często w G-funk.

JETLAGZ

Jetlagz to zespół tworzony przez Kosiego i Łajzola z grupy JWP, do której aktualnie należy także Ero. JWP założone zostało w 1996 roku i jest grupą hip-hopową skupiającą nie tylko raperów, ale także dj'ów, bboy'ów oraz grafficiarzy. Są oni jednymi z głównych postaci warszawskiej sceny prawdziwego oldschoolu, który tworzą do dziś. JWP nie jest zespołem muzycznym. Należący do tej grupy raperzy wydają solowe płyty oraz łączą się w mniejsze zespoły, jednak zawsze występują u siebie nawzajem jako goście. Jako JWP wydali jedynie 3 albumy. Ich najbardziej znanymi numerami, które mogą być przykładem prawdziwego oldschoolu są *Szesnastki*, *Jesteśmy wszędzie* oraz *Tworzymy historię*. Kosi i Łajzol jednak od 2017 roku tworzą także dodatkowy zespół Jetlagz. Pod tym syldem wydają bardziej newschoolowe numery. Na ich pierwszym singlu *Bezsens* gościem można usłyszeć nawet Żabsona. Na razie wydali 2 albumy – *WSK8OFMND* oraz *Szum*. Przykładowymi newschoolowymi kawałkami są *A nie mówilem* oraz *Mieć i nie mieć* z gościnnym występem zespołu PRO8L3M. Raperzy z Jetlagz i JWP tworząc newschoolowe utwory jednak żyją prawdziwym hip-hopem. Ich teledyski prawie zawsze przedstawiają proces tworzenia graffiti, w ich sklepie można kupić puszki z farbą, a w Warszawie często można zobaczyć napis JWP na ścianach budynków.

BORIXON

Borixona każdy dzisiaj kojarzy jako założyciela grupy Chillwagon, skupiającej raperów młodego pokolenia tworzących newschoolowy trap. Mało kto wie jednak, że aktywny jest już od 1995 r., kiedy to pod ksywą Borygo wstąpił do legendarnego dziś zespołu Wzgórze Ya-Pa 3. Jako raper z Kielc współpracował z Liroyem, jednym z ojców założycieli polskiego hip-hopu. W 2001 roku należał do Gib-Gibon składu, który na czele z Tede wygrał najważniejszą bitwę freestyleową w historii Polski. Dziś znany z prowadzenia Chillwagonu, wydał 11 solowych płyt, z czego debiutancka została wydana w 2001 r. Jeden z ważniejszych raperów lat 90. i wczesnych dwutysięcznych. W 2015 r. należał także do znanego w całej Polsce Gangu Albanii, którego płyta bardzo szybko zyskała status diamentowej. Można uznać to za moment zmiany jego stylu z oldschoolu na totalny newschool. Działalność znanego wszystkim Chillwagonu to oczywiście przykład nowej szkoły tworzonej przez małe pokolenie, ale to właśnie Borixon jest tam główną postacią.

Przytoczeni raperzy to tylko niektórzy przedstawiciele ze starej szkoły, którzy nie boją się zmienić swojego stylu na bardziej młodzieżowy. Dziś rap jest w końcu najpopularniejszą muzyką w Polsce, a wielkie zarobki tych muzyków stały się normą. Podstawą sporu sprzed kilku lat stało się narzekanie kilku starszych raperów na to, że małe pokolenie nie ma dziś takich korzeni jak pierwotni raperzy, nie doświadczyli biedy, rapują głównie o pieniądzach i samochodach. Mimo wielu argumentów nie byli w stanie zrozumieć, że jest to naturalny postęp, który rap poczynił dzięki temu, że to właśnie starzy raperzy położyli młodym podłożę pod ten sukces. Muzyka stale się zmienia i za kilka lat dzisiejsza twórczość Żabsona, Chillwagonu czy Bialasa będzie uznana za muzykę w starym stylu. Dobrze spułtował to Tede w kawałku *Disco Noir* z najnowszej płyty, mówiąc, że nie słucha uwag innych do jego muzyki, bo stale ewoluje, a bit wyznacza mu wyłącznie czas.

JAKUB ŁASICKI

O CO CHODZI Z TYM WIERTŁEM

TYTUŁOWE PYTANIE ZADAŁ OSTATNIO SWOIM SINGLEM RAPER BOBER – NAWIĄZAŁ TYM DO POPULARNOŚCI DRILLU (BO *DRILL TO PO ANGIELSKU WIERTŁO*) – PODGATUNKU TRAPU, KTÓRY ZDOBYWA OSTATNIO CORAZ WIĘKSZĄ POPULARNOŚĆ W POLSCE. O CO WIĘC CHODZI? CZEMU DRILL STAŁ SIĘ POPULARNY? SKĄD SIĘ WZIAŁ? CO TO JEST? DLACZEGO RAPERZY ROBIĄCY DRILL NIE MOGĄ SIĘ UŚMIECHAĆ?



Drill jest podgatunkiem trapu, więc cechuje się trapowym tempem i melodyjnością. Drillowe podkłady zazwyczaj tworzone są w 140–150 bpm. Ich melodie są łatwe i okrojone, zazwyczaj składają się z jednej linii syntezatora pianina. Najważniejsza jest rozregulowana, przesterująca (przypominająca właśnie wiertło) linia basu oraz wszechobecne, nieregularne „cykacze”, czyli hi-haty, które wypełniają utwór i nadają mu tempa. Werble i pozostałe bębny wybijają szybki, agresywny rytm. Raperzy, którzy uznawani są za drillowych rapera w sposób agresywny, często płaski, nie przekazując emocji intonacją. Tematy, jakie poruszają, to zazwyczaj czysta gangsterka, brud, trudy życiowe. W *drillu* wszystko jest smutne i trudne. Czysty nihilizm. Drillowcy się nie uśmiechają.

Drill wyewoluował z trapu. Narodził się koło 2010 r. w Chicago, a później stał się popularny w reszcie Ameryki i Wielkiej Brytanii. Artystą, który bardzo przyczynił się do spopularyzowania *drillu*, jest Chief Keef – uznawany dziś za jedną z ważniejszych postaci w historii trapu. Jednym z najpopularniejszych drillowych raperów jest też zmarły rok temu raper Pop Smoke. Wielu artystów inspiruje się jego muzyką, a jego utwory uznawane są za kultowe.

Ostatnio polską scenę szturmują dwaj raperzy, którzy zajmują się tylko *drilliem*. Pierwszym z nich jest Miszel – chłopak z Katowic, konkretnie z Ligoty. Świeży narybek QueQuality. Single *Ligota*, *Progress* i *Requiem*, których teledyski są powiązane i opowiadają jedną historię, wrzucone na kanał wytwarzni, odbiły się szerokim echem i dotarły do dość dużej publiczności. Niepowtarzalny styl Miszela charakteryzuje się

często krzyczanymi wersami, agresywnym rapowaniem, często podpiewywaniem i mnóstwem emocji w utworach. To wszystko na drillowych podkładach, w klimacie *drillu* i drillowej estetyce. Oryginalność spowodowała, że wiele osób z zaciekawieniem czeka na kolejne produkcje śląskiego rapera. Miszel idealnie trafił w rosnący w Polsce popyt na *drill* – jednocześnie w jego muzyce czuć autentyczność. Niektórzy twierdzą, że nie można powiedzieć tego o drugim drillującym raperze. Chodzi oczywiście o zdobywającego ostatnio popularność podopiecznego Malika Montany – Alberto. Dlaczego część słuchaczy zarzuca mu brak autentyczności? Twierdzą, że jest on produktem kreowanym przez Malika – wziął się znikąd, nikt o nim nie słyszał – zaczął wrzucać utwory na duży kanał – GM2L, będąc jednocześnie mocno promowanym przez jednego z największych polskich raperów – właśnie Malika. Dużo osób twierdzi, że to wykalkulowany ruch, ponieważ Malik wie, co się dobrze sprzedaje i chce popychać polski hip-hop za granicę. Utwory Alberta są bardzo podobne do tych zagranicznych, to praktycznie kopia jeden do jednego. Oprócz tego, że Alberto zdarza się uśmiechnąć. Charyzmy i prezenacji oraz wpasowania się w klimat nie można mu odmówić, więc ruch ze strony Malika jest naprawdę dobry. Czy wspomniałem już, że Alberto ma brata? Josef Bratan, bo taką ksywkę przybrał brat Alberto, wypuścił ostatnio pierwszy singiel z gościnnym udziałem – oczywiście – Malika Montany. Niewątpliwie obaj panowie wzbudzają dużo kontrowersji i zainteresowania. Oby kolejne utwory pokazały, że są warci całego zamieszania, jakie wzbudzają i potrafią tworzyć dobrą muzykę. Wszystko to bardzo ładnie rośnie i ostatnio został ogłoszony wspólny utwór Miszela z trójką wyżej wspomnianych panów z GM2L. Pozostaje tylko oczekiwać.



Dlaczego *drill* stał się taki popularny? Mój strzał – agresywne, bezpośrednie rzeczy zawsze się dobrze sprzedają. Ludzie lubią patrzeć na gangsterkę. Ale najważniejsze moim zdaniem jest to, że drillowe podkłady naprawdę wpadają w ucho i „bujają”. Bardzo łatwo się w nie wczuć, wszystkie są do siebie dość podobne, trzymają się ram, o których pisałem w drugim akapicie. Dzięki swojemu tempu pasują też do wielu utworów – co skutecznie udowadnia Młody Klakson na swoim kanale YouTube – „młody klakson”. Możecie tam znaleźć takie dzieła jak: „MORSKIE OPOWIEŚCI, ale to DRILL” czy też „KASIA CEREKWICKA – NA KOLANA, ale to DRILL”, „SYLWIA GRZESZCZAK – CO Z NAMI BĘDZIE, ale to DRILL (ft. ALBERTO)” (tak, w tym ostatnim zwrotka Alberto z *Dwutaktu* jest wklejona na miejsce zwrotki Libera). Inne utwory, których drillowe wersje zaprezentował Młody Klakson to między innymi Wilki – *Urke* i Kombi – *Słodkiego milego życia*. Do każdego utworu Młody Klakson przygotowuje specjalny teledysk. Montuje teledysk oryginału z tańczącymi drillowe układy ludźmi z Wielkiej Brytanii czy też Ameryki. Serdecznie polecam kanał „mlody klakson” i wszystkie przeróbki – są naprawdę świetne.

Drill niewątpliwie jest bardzo konkretnym i wyczerpującym podgatunkiem hiphopu. Polska jak zwykle zacofana, ale jeśli mam strzelać, to z takim tempem napierania drillowych artystów i w naszym kraju fala hype'u na *drill* może już za chwilę minąć. Miejmy nadzieję, że nowi wykonawcy nie będą robić wszystkiego na jedno kopyto i dostaniemy więcej ciekawych i oryginalnych zawodników – takich jak na przykład Miszel – a nie tylko kalki z zagranicy.

JANEK WYRZYKOWSKI

CICHA WODA U BRZEGÓW JAZZU RWIE I ZALEWA ŁĄDY

Za nami 2020 rok, nieprzewidywalny i trudny. Uznany on został przez Sejm RP za rok Leopolda Tyrmanda. Odważnego pisarza i co najważniejsze, propagatora jazzu w Polsce. Jak udowadnia twórczość powstała pod jego patronatem, atmosfera katastrof potrafi być znacząca dla współczesnej działalności jazzowej.

PLANETA MARNIEJE W DZIURAWYCH RYTMACH

Styczeń – miesiąc realizacji mniej lub bardziej ambitnych postanowień. Miesiąc, w którym, jak dyktuje zwyczaj, pokładamy nadzieję na korzystne dla nas zmiany. Od pierwszych tygodni słyszymy o płonących lasach w Australii. Żeby nie pozwolić zagrożeniom klimatycznym odejść w zapomnienie, luty przychodzi do nas z rekordową temperaturą na Antarktydzie – 20, 75 st. Celsjusza. Oba te wydarzenia pokazują realne zagrożenia, wynikające z naszego społeczno-politycznego zaniedbania klimatu. Duże topnienie pokrywy lodowej, co jest wypadkową podniesienia się na tym obszarze średniej temperatury o 3 stopnie, w szerszej perspektywie spowoduje podniesienie się poziomu mórz. Oznacza to stopniowe zalewanie lądów. Powoli zabraknie dla nas miejsca na Ziemi. Z kolei ogromne straty po pożarach powodują brak tego miejsca już teraz dla naszych zwierzęcych braci. To i ciut więcej, na bęben bierze Laurence Pike na wydanej właśnie w tej dystopijnej rzeczywistości płycie *Prophecy*.

Album jest zatytułowany dość jasno, jaka jest zatem ta przepowiednia? Tytułowy utwór jest nieustającym biegiem, pędem, który kończy się kilka sekund przed końcem samego utworu i zostawia nas w ciszy. Coś się skończyło. Budzimy się po chwili milczenia w nowej rzeczywistości – *New Normal*. Jest ona niepowielana, tak jak wszystko co nowe, musi się ułożyć i każdy w swoim czasie znajdzie w tym swój własny ład. Dla Pike'a swoistym ładem, jak dowiadujemy się pod koniec płyty, jest wsłuchanie się w rytm ziemi – *Echoes of Earth*, który może nas zachwycić (*Rapture*). Zachwyt ten ma momentami wymiar wręcz duchowy, pozaziemski. Lądujemy przecież aż na Saturnie (*Born under Saturn*), co jest tak charakterystyczne dla eksperimentalno-duchowego jazzu, z którym choć dziurawym, bo całkowicie perkusyjnym, mamy tutaj do czynienia. Dostrzegam tutaj analogię do wydarzeń zaistniałych w późniejszych miesiącach. Do nadejścia pandemii i próby odnalezienia się w nowych, trudnych warunkach. Całość poprzedza już wyraźnie niepokojące (*Ember*), przeprowadzając nas przez pożary w Australii.

CO NA TO LEOPOLD?

Patron ówczesnego roku, Leopold Tyrmand, w swojej książce *U brzegów jazzu*, pełnej impresji podążających śladami historii rozwoju gatunku, w jednym zdaniu zaprezentował siłę emocjonalnego manifestu muzycznego. „Czyż trąbka nowoorleańskiego Murzyna nie byłaby przed Sądem Ostatecznym najlepszym rzecznikiem ludzkiej niedoli?” – pyta, mając na uwadze kontekst historyczny powstania jazzu, który sięga od niewolniczych prac Afrykańczyków w Ameryce, aż do nowoorleańskich buntowników. Dysponujemy odpowiednim obrazem, by zrozumieć kolejny zeszłoroczny dorobek jazzowy. Shabaka Hutchings – saksofonista pozostający pod wpływem muzycznej siły rzecznego Afrykańczyków, członek trzech istotnych w zakresie nowego jazzu zespołów i tym samym jeden z ciekawszych artystów naszych czasów, ujawnił skomplikowany twór – *We are sent here by history* wraz ze swoją grupą The Ancestors. Pełen żarliwości i pasji krążek w porównaniu do poprzednio wspomnianego, opowiada swoją historię bez wytchnienia. Od samego tytułu mamy do czynienia z profetyczną aurą i wizjonerską rolą tej gromady. *They who must die*, czyli saksofonowy wir, który witając nas u progu, wciąga w wyczerpującą podróż po „kartach historii”. Kartach, które sami spisaliśmy i jako rzecze niepokojąco ten osobliwy lament – najwyraźniej nie ma już dalej na nich miejsca. Żyjemy w obliczu zagrożenia naszego gatunku. Mimo że ta myśl nie pozostawia w nas nadziei, może nakierować, zmobilizować i wyrwać nas z bezczynności. *You've been called* ze słowami „*An act of destruction, becomes creation*” [akt destrukcji staje się kreacją] i jak sam Shabaka w wywiadzie dla *The Guardian* wspomina: „Nastąpienie realnej zmiany musi poprzedzić koniec tego, co chcemy zmienić”. Zapewnia, że uczestniczymy w zapoczątkowanym przez nas końcu, musimy uzmysłowić sobie naszą odpowiedzialność. Przeprowadzając słuchacza, przez niekiedy gryzące w gardło saksofonowe brzmienie, aż do finalowego, acz mniejmy nadzieję, że nie ostatecznego dla nas, epitafium *Teach Me How To Be Vulnerable*, Shabaka doprowadza nas, przynajmniej tak było w moim przypadku, do poczucia rozdrobnienia od przypływu niespokojnych myśli.

WYMEDYTOWANA ZMIANA

Oba albumy wspólnie stanowią dla mnie formę transu. Pike wyraża nieustający bieg myśli następujący po zamknięciu powieki, a Shabaka wykorzystuje tę sytuację i bezpardonowo przekształca ją w medytację. Ten stan pozwoli nam przetrwać burzę. Należy pozwolić myślom, jakiegokolwiek kształtu one by nie były, swobodnie płynąć. Nie skupiać się na żadnej z nich, ale każdą zaakceptować. Trwając w harmonii, z nawet najbardziej wzburzonymi myślami, jesteśmy w stanie zacząć oglądać je z boku. Nietrudno przy tak pulsującym przekazie stać się skupionym obserwatorem. Docenić zarówno znakomitostęp instrumentalną, jak i fatalizm sytuacji. Ostatecznie zostajemy z wnioskami zależnymi tylko od nas samych oraz z nadzieję, że zobaczyliśmy już kres w wykonaniu The Ancestors, który jest dla nas jedynie burzliwą ewentualnością, jeśli coś zrobimy, nie musi się wydarzyć.

AMELIA SKRZYPCZAK

ECOSKÓRA

PO PIERWSZE MUSIMY ZADAĆ SOBIE PYTANIE. CZY NA PEWNO WIEMY, CZYM RÓŻNI SIĘ SKÓRA „NATURALNA” OD SKÓRY „WEGAŃSKIEJ”? WIELE OSÓB ZAPEWNE MOŻE ZMYLIĆ NAZWA TEJ PIERWSZEJ. POMIMO ŻE MOŻE SIĘ WYDAWAĆ, ŻE POZYSKIWANA JEST W NATURALNY SPOSÓB, NIE DO KOŃCA JEST TO PRAWDĄ.

TRZEBIA WSPOMNIEĆ O TYM, ŻE CZASAMI KUPUJĄC PRODUKTY ZE SKÓRY ZWIERZĘCEJ, CZYLI INACZEJ NATURALNEJ, NIE MAMY NAWET ŚWIADOMOŚCI, SKĄD ONA POCZODZI. PONAD POŁOWĘ ŚWIATOWYCH DOSTAWCÓW, TAKICH JAK BANGLADESZ, CHINY, ETIOPIA, INDIE, KAMBODŻA CZY WIETNAM, PRZY PRODUKCJI NIE OBOWIĄZUJĄ PRAKTYCZNIE ŻADNE REGULACJE DOTYCZĄCE HODOWLI CZY UBOJU ZWIERZĄT. WYTWARZANIE TEGO RODZAJU SKÓRY JEST PO PROSTU NIEETYCZNE.



Dobrym pytaniem jest, czy „naturalnie” oznacza również „ekologicznie”? Otóż niekoniecznie. Do produkcji naturalnej skóry należy wiele różnych procesów, takich jak np. garbowanie, zmiękczanie, farbowanie czy uszlachetnianie, które oprócz tego, że zużywają ogromne ilości wody, używają też substancji chemicznych bardzo szkodliwych dla ludzi oraz środowiska. Dzięki coraz większej świadomości ludzi na temat kosztów, jakie ponosi nasza planeta za produkcję ubrań (np. właśnie ze skóry zwierzęcej), z dnia na dzień coraz więcej osób, a nawet marki przerzuca się na nieco inny, bardziej przyjazny środowisku zamiennik. Skórę wegańską.

Skoro wegańską, to bez zawartości żadnych produktów pochodzenia zwierzęcego. Z czego w takim razie produkuje się taką skórę i czy jej produkcja jest przyjazna dla środowiska? Skórę wegańską tworzy się z wielu przeróżnych produktów. Od skóry z liści ananasa, po skórę z wyłoczonych jabłek, a nawet plastikowych zużytych butelek. Przykładowo liście ananasa są na farmach bezużytecznym odpadem. Tutaj właśnie wkraczają firmy, które te liście odkupują od farmerów i tworzą z nich skórę. Tworzy się ją za pomocą specjalnej maszyny, uzyskującej włókna z liści, które później są myte i suszone oraz przekształcane przemysłowo w materiał, stanowiący bazę Pinatexu – czyli inaczej skóry wegańskiej. Jej produkcja jest zdecydowanie lepszą alternatywą dla produkcji skóry zwierzęcej. Wciąż trwają badania nad jej modyfikacją, by stała się jeszcze bardziej przyjazna środowisku.

Skóry wegańskie od jakiegoś czasu, z powodu swojej wytrzymałości oraz bardzo dobrej jakości, zdobywają masę zwolenników. Nie tylko dlatego, że kupowanie produktów, które są z nich zrobione, stało się po prostu modne, lecz także dlatego, że jakościowo bardzo często są o wiele lepsze od skór pochodzenia zwierzęcego. W Polsce jednymi z firm, które wykorzystują Pinatex w swoich torebkach, są Aleksandra K oraz Atomy. Obydwie marki na pierwszym miejscu stawiają dbałość o środowisko i ekologię, jednocześnie nie zapominając o ponadczasowości swoich akcesoriów i ich kultowym wyglądzie. Inną marką, która staje się coraz bardziej popularna nie tylko w Polsce, ale i na całym świecie, jest JW PEI. Marka ta ma swoją siedzibę w Los Angeles. Jej założycielem jest młode małżeństwo, które swoje torebki produkuje nie tylko z certyfikowanych wegańskich skór, ale także z plastikowych butelek poddanych recyklingowi. JW PEI z każdą nową kolekcją zaskakuje nowymi wzorami i modelami oraz uświadamia klientom fakt, że jest na tyle uniwersalną marką, że kochają ją nie tylko osoby uwielbiające minimalizm, a także te, które pragną „zaszaleć” z kolorami lub dopiero zacząć swoją przygodę z nimi.

Dzięki projektantom łączącym swoje kultowe projekty, z troską o środowisko i ludziom wspierającym te idee, powoli skóra naturalna idzie w niepamięć. Dobrym pytaniem jest, czy w przyszłości możliwe będzie całkowite odejście od skór zwierzęcych stosowanych w modzie. Coż... Jedyne co można na ten temat powiedzieć, że to zależy tylko od nas...

EKO kosmetyki

Ekokosmetyki są coraz częściej stosowanymi produktami. Są one bezpieczniejsze i zdrowsze dla naszej skóry. Pozytywów z ich posiadania w swojej kosmetyczce jest jednak więcej. Przyjrzyjmy się temu z bliska.

Ekokosmetyki zyskały popularność dzięki prostemu i naturalnemu wpływowi na skórę. Mimo dość banalnego składu potrafią zadziałać równie dobrze, a nawet i lepiej, jak kosmetyki z chemią. Biokosmetyki można dostosować do wielu cer, np. suchej, oleistej itp. Nie zapychają skóry dzięki braku SLSów (detergentów o silnych właściwościach myjących) i silikonów czy TEA (trietanoloaminy stosowanej w kosmetykach do dostosowania pH produktu).

Ważne jest także to, że sprzyjają środowisku, biodegradowalne opakowania (zwracające uwagę swoją estetyką) i brak chemicznych składników wpływają na ich szybki rozpad. Nie są również testowane na zwierzętach, co w dzisiejszych czasach jest dużym problemem wśród firm kosmetycznych. Do produkcji ekokosmetyków używa się składników pochodzenia roślinnego.

Niestety, pomimo wielu zalet, ekokosmetyki mają również swoje wady. Jedną z nich jest wyższa cena produktów. Jeśli chcemy korzystać z biokosmetyków, musimy się przygotować na sporą różnicę w cenie. Przez to, że ekokosmetyki są wyprodukowane na bazie naturalnych składników, które są droższe i trudniejsze do znalezienia, cena artykułu wzrasta.

Drugą wadą jest krótki termin przydatności. W kosmetykach naturalnych są stosowane konserwanty dobre dla naszej skóry, lecz niestety nie są one tak silne jak paraben w chemicznych kosmetykach. Dlatego też osoby odpowiedzialne za wybór ekokosmetyków nie mogą pozwolić sobie na wytwarzanie długich serii.

Marki, które polecamy: Make Me Bio, Mokosh, Miya, Hagi, BodyBoom, IOSSI, 4 szpaki – produkty tych marek was nie zawiodą.

LENA GRYGUĆ I OLIWIA PIÓRKOWSKA

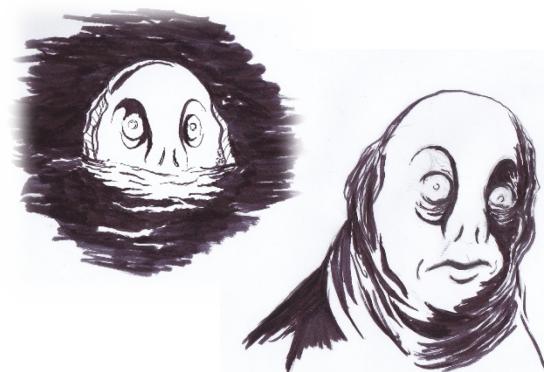
CZŁOWIEK po człowieku, czyli trochę powrót do Małp

Twoim tatą był inżynier genetyczny, a matką nauka. Nazywasz się Piccarblick i jesteś pierwszym pokoleniem kolonizującego oceanów nowego gatunku *Homo Sapiens - Homo Aquaticus*. Masz długie, spłaszczone ciało okryte śliską i granatową skórą. Plyniesz głęboko pod powierzchnią morza, twoją uwagę przyciąga wielki okrągły cień na dnie, chciałbyś obejrzeć się przez ramię, by sprawdzić, co go rzuca, lecz przypominasz sobie o braku szyi. Gdy byłeś zaledwie embrionem, twoje geny zmodyfikowano tak, byś miał jak najbardziej opływy kształtu ciała, z tego powodu na twojej szerokiej, przypominającej połączenie żabiej i ludzkiej twarzy, pojawia się żałosny i ciężki do zinterpretowania – grymas.

To, co właśnie przeczytałeś, to wizja niezbyt odległej przeszłości, stworzonej przez szkockiego geologa oraz paleontologa – Dougala Dixona. Opisał ją w swojej książce „MAN after MAN an anthropology of future” wydanej w 1990 roku, trzeciej z kolei książce o ewolucji spekulatywnej. Na początku, bazując na ówczesnej wiedzy, Dixon tłumaczy pojęcie genu, jak zachodzi przekazywanie kodu genetycznego oraz co z tego wynika. Potem zgrabnie opisuje drogę od *Ramapithecusa*¹ do *Homo sapiens*². W dalszej części książki prezentuje następne 5 milionów lat hipotetycznej krętej ścieżki ewolucji gatunku ludzkiego, która przyspieszona oraz napędzana jest w głównej mierze przez inżynierię genetyczną oraz gwałtowne zmiany klimatu. Jeżeli brzmi to nieprawdopodobnie, trzeba pamiętać, że żyjemy w czasach, w których na półkach sklepowych możemy znaleźć produkty GMO, a naukowcy w celach badań są w stanie wszczępić myszom gen pozwalający im na funkcjonowanie z mniejszą ilością snu³, dlatego też wizja autora zasługuje na szczególną uwagę.



W sumie w książce opisanych jest 40 różnych gatunków, każdy z nich świadczy o niezwykłej wyobraźni autora. *Homo sapiens machnadiamentu* to nie oddzielny gatunek, a raczej człowiek, któremu stopniowo przestające prawidłowo funkcjonować organy wymienia się na coraz bardziej zaawansowane technicznie sprzęty do momentu, w którym pozostaje tylko mózg zamknięty w maszynie. Gdy ludzkość w znanej nam dzisiaj formie przestaje istnieć, ludzie-maszyny tworzą nowe stworzenia zdolne do przetrwania w aktualnych warunkach. *Homo campis fabricantus* – to ten gatunek zapoczątkował rozdzielenie się na wiele innych niezwykłych, żyjących w zróżnicowanych niszach gatunków. *Baiulus moderator* – symbioza olbrzymich, przypominających yeti stworzeń z inteligentnymi, drobnymi, leśnymi krewnymi *Homo campisa*. Z kolei mały, z dużymi uszami i trochę pokraczny *Alvearanthropus desertus* żyje głęboko pod ziemią, w ścisłe zhierarchizowanych społecznościach, gdzie tylko jedna samica naraz może się rozmnażać oraz rodzić dzieci, reszta dostosowuje się do jej cyklu, samce zaś polują i zdobywają jedzenie.



Praktycznie wszystkie te stworzenia są wspaniale zilustrowane przez Philipa Hooda, przez co ma się wrażenie, że czyta się robiony pod wpływem substancji psychoaktywnych stary atlas zwierząt, co tylko dodaje temu uroku. To, co pokrótko przedstawiłem, to tylko załączek tego, jak niezwykle i zawiłe są przedstawione w książce wizje na temat naszej – nie ukrywajmy – nieznanej nam przeszłości. Dlatego każdemu przedstawicielowi *Homo sapiens*, będącemu fanem sc-fi czy lubiącym mocno surrealistyczne i abstrakcyjne wizje, lub po prostu ciekawemu świata, gorąco polecam sprawdzić, co być może czeka nasze wnuki.



1. W czasie pracy nad książką *Ramapithecus* uznawany był za najstarszego przodka łączącego dzisiejszych ludzi oraz szympansy, a więc był najstarszym znanym hominiem, inaczej człowiekowatym – czyli należał do rodziny ssaków składającej się z naczelnego, wykazujących się dużą inteligencją. Teraz rodzaj *Ramapithecus* uznawany jest za przodka orangutana, a jego nazwa została zmieniona na *Sivapithecus*.

2. Każdy choć trochę świadomy człowiek powinien wiedzieć, co to za gatunek.

3. DEC2 – to właśnie wariacja genu, która u ludzi odpowiedzialna jest za mniejsze zapotrzebowanie na sen. W 2014 została wszczepiona grupie laboratoryjnych myszy, redukując ich czas odpoczynku bez zaburzenia normalnego funkcjonowania.

JULIAN STACHOWSKI, GRAFIKA: KUBA BOBER

„TALENT to zaledwie 20% sukcesu”

- wywiad Doroty Pisarek z Zuzanną Kłosińską „Suzią”

KIM JEST SUZIA? SUZIA TO MŁODA AMBITNA ARTYSTKA, KTÓRA TWORZY PIOSENKI I WRZUCA JE DO SIECI. JEJ NAJPOPULARNIEJSZE UTWORY ZGROMADZIŁY PONAD 20 000 WYSWIETLEŃ. W SWOICH PIOSENKACH PRZEKAZUJE OSOBISTE PRZEMYSŁENIA I WARTOŚCI, KTÓRYMI SIĘ KIERUJE. CIĄGLE SIĘ ROZWIJA I TWORZY NOWE, ZASKAKUJĄCE UTWORY. JAK SAMA MÓWI, PLANUJE DALSZY ROZWÓJ I NIE ZAMIERZA STAWAĆ W MIEJSCU.

DOROTA: PAMIĘTASZ MOŻE KIEDY I DLACZEGO ZACZĘŁAŚ ŚPIEWAĆ?

ZUZANNA KŁOSIŃSKA: W zasadzie to wyszło dosyć naturalnie i spontanicznie. Nie chodziłam do szkoły muzycznej, ale bardzo lubiłam śpiewać, zwłaszcza przy mojej siostrze, która mówiła, żebym przestała, bo nie potrafię. W wieku nastoletnim moja siostra dostała gitarę, ale to ja nauczyłam się na niej grać. Miałam 13 lat, kiedy zakochałam się w tym instrumencie. Miałam śpiewnik harcerski w którym były piosenki, a obok nich narysowane chwytów. Z jego pomocą nauczyłam się chwytów.

KIEDY ZACZĘŁAŚ PISAĆ SWOJE PIOSENKI?

Gdy nauczyłam się łapać dwa pierwsze akordy, to zamiast śpiewać piosenki, zaczęłam je pisać. I pisałam ich bardzo dużo. W wieku 13 lat to miałam w sobie bardzo dużo emocji, które szukały ujścia. Niektórzy piszą pamiętniki, ja pisałam piosenki. I od tamtej pory to się utrzymuje. Na ten moment mam na koncie ponad 200 utworów, ale brakuje mi zacięcia, żeby doprowadzić wszystko do końca. Z aranżacjami muszę się zwracać do kolegów po fachu.

CO CIĘ SKŁONIŁO DO WYJŚCIA ZE SWOJĄ MUZYKĄ DO LUDZI?

Może nie zabrzmi to skromnie, ale ufam, że każdy artysta ma w sobie wewnętrznego narcyza, który potrzebuje atencji. A najpiękniej kwitniemy na środku sceny! I mnie ta scena zaczęła wołać, budząc do życia śpiące w szufladzie piosenki. Miałam poczucie, że to, co robię, jest fajne. Pierwsze występy dawałam w mieszkaniu. Jak mama mnie usłyszała, to powiedziała „wow, nie wiedziałam, że piszesz takie piosenki!” i zapisała mnie na zajęcia z gitary. Na pierwszej lekcji mój przyszły nauczyciel poprosił mnie, żebym zagrała cokolwiek, bo chciał sprawdzić mój poziom. Zagrałam jeden ze swoich numerów, bo tylko te znałam na pamięć! Po wysłuchaniu mnie stwierdził, że nie ma co tracić czasu na naukę gry na gitarze i polecił mi, żebym skupiła się na pisaniu piosenek. To on zaczął mnie wypychać na różne sceny związane z domami kultury. I tak od sceny do sceny, od malutkich do później trochę większych... Na wieczorkach artystycznych poznalałam innych ludzi, którzy byli twórcami tak samo jak ja. W konsekwencji, wspólnie pojawiłyśmy się na scenach klubokawiarni miejskich. Wydaje się, że rozwinęło się to bardzo naturalnym trybem.

KTÓRA Z PIOSENEK JEST TWOIM NAJWIĘKSZYM SUKCESEM?

To jest bardzo trudne pytanie. Mam tak, że kiedy napiszę nową piosenkę, to przez chwilę jest to moja ulubiona piosenka, a potem piszę następną i to ta następna jest moją ulubioną. Po reakcji innych mogę powiedzieć, że piosenka *Wróć ze mną do domu* jest tą, która najbardziej zapada w pamięć i może pod tym kątem mogłabym ją podciągnąć pod odpowiedź na to pytanie, ale ja nie patrzę na nią jak na piosenkę, z której jestem najbardziej dumna.

DZIŚ WIELE OSÓB TWORZY MUZYKĘ. NIE BAŁAŚ SIĘ KONKURENCJI?

Możliwości są ogromne. Każdy, kto ma telefon, jest w stanie nagrać swój utwór i wrzucić go do sieci. Pula domoroskich artystów rośnie każdego dnia. Kiedy byłam młodszą, nieustajaco porównywałam się do każdego, kto śpiewał lub grał lepiej ode mnie. A takich ludzi jest mnóstwo! Musiałam dorosnąć do tego, że moją największą konkurencją jest niska samoocena i zazdrość. A przecież muzyka miała stanowić dla mnie bezpieczną przestrzeń, forum do przerabiania emocji. Wszystkie piosenki opowiadają inną historię poruszana w procesie autoterapii. W końcu zrozumiałam, że znaczna większość artystów komponuje w oparciu o ten sam proces. Jednak jesteśmy ludźmi! Dzielimy się częścią siebie z tymi, którzy słysząc nasze słowa, znajdują w nich swoje historie. Mam takie podejście, że nieważne dla ilu osób gram koncert, to na koniec dnia najważniejsze jest, że chociaż do jednej osoby to trafi. Z biegiem lat zrozumiałam też, jak fantastyczne jest to, że ludzie otwierają się, piszą piosenki i dzielą się nimi. Przez prawie 3 lata prowadziłam w Klubie Harendra otwartą scenę muzyczną. Przez scenę przeszło wiele fantastycznych osób. Większość z nich prowadziła całkiem przyziemny tryb życia. Niesamowitym było doświadczać ich metamorfozy! Oni tam kwitli. Przystałam postrzegać ludzi w Internecie jako konkurencję, a zaczęłam patrzeć na nich jak na kolegów z branży. Takie myślenie pomaga. Nie trzeba się porównywać, ale czuć się „jednym z”.

CZYLI KONKURENCJA DODATKOWO CIĘ NAPĘDZA?

Tak. Kiedyś mi się wydawało, że jak bierzesz gitarę i śpiewasz piosenkę, to chodzi o to, kto ją piękniej zaśpiewa. Musiałam naprawdę dużo w życiu wysuchać, żeby zrozumieć, że moje przekonania były błędne. Jest wielu wspaniałych technicznie wokalistów, ale jeśli nie stoją za nimi emocje, nie mają nic do przekazania.... Na koniec dnia ważniejszym wydaje się, co i jak słuchacz poruszy, albo czy jakkolwiek zainspiruje.

CZY BYŁ U CIEBIE JAKIŚ PRZEŁOMOWY MOMENT?

Ja nie jestem, a przynajmniej nie czuję się szczególnie znana. Ale faktycznie przeszedł taki moment, w którym zauważyłam, że po wrzuceniu filmiku do sieci dużo szybciej trafia on do szerszego grona odbiorców. Nie pamiętam, kiedy to dokładnie było. Natomiast jeśli chodzi o przełom... Jak miałam, 13 lat pisałam dużo piosenek w stylu emo. Gdy byłam na studiach, weszłam w etap pisania satyry. Bardzo inspirowali mnie zagraniczni twórcy, m.in. Tim Minchin. Jakiś czas pielegnowałam ten styl piosenki studenckiej. Moi odbiorcy oczekiwali muzycznego humoru na koncertach. Po czasie znów poczułam potrzebę zwrotu w kierunku bardziej poważnym. Teraz jestem na etapie, gdzie mam do przekazania ogrom swoich przekonań, które umieszczam w piosenkach i pracując nad płytą, skupiam się właśnie na takich utworach. Zrozumiałam też, że za ciężkim tekstem niekoniecznie musi iść ciężka muzyka. Chciałabym połączyć muzyczną lekkość ducha, którą miałam na etapie tworzenia satyry z klimatem tekstowym nie do końca prostym do przyjęcia. Może to też jakaś forma przełamania?



KTO JEST DLA CIEBIE INSPIRACJĄ?

Wallis Bird. Natknęłam się na nią, kiedy miałam 21 lat. Dziewczyna wymiata na gitarze. W nieszczęsnym wypadku straciła część palców, dlatego na gitarze nauczyła się grać do góry nogami! Dzięki temu ma brzmienie jedyne w swoim rodzaju. Na każdym koncercie wymieniają jej struny po cztery razy, bo tak je rwie. Dla mnie Wallis jest też fantastyczną songwriterką. Jej głos jest tak poruszający, że zawsze jak ją słyszę, to aż drżę cała w środku. Miałam okazję pojechać na jej koncert w 2019r., po 7 latach śledzenia jej kariery w Internecie. Kiedy zobaczyłam ją na scenie, byłam oszołomiona i zachwycona. Niesamowite, że jedna osoba potrafiła poruszyć ponad 300 osób. Wszyscy z nią śpiewali i tańczyli. To było rewelacyjne doświadczenie. Spojrzałam na nią i miałam poczucie, że jednak się da, tylko trzeba iść w zaparte i grać. Myślę, że to właśnie ona jest dla mnie wzorem do naśladowania.

JAKIE CECHY CHARAKTERU SĄ TWOIM ZDANIEM NAJWAŻNIEJSZE, ŻEBY ZACIEKAWIĆ INNYCH SOBĄ?

Na przykładzie Mery Spolsky powiem, że jest to wytrwałość, zawiązcie i ogromna wiara w siebie. Poznałyśmy się na przesłuchaniach do festiwalu muzycznego. Mery przyszła na te przesłuchania w dwóch lub trzech różnych składach, tylko po to, żeby z którymś ze składów się dostać. Kiedy ja przestałam chodzić na przesłuchania, ona dalej na nie chodziła i miała w sobie ogromną energię i pewność siebie. No i zobacz gdzie teraz jest. Wybrała się ze swoją muzyką. Nikt po drodze jej nie powiedział, jaka ma być. Ona stwierdziła „ok, to jestem ja i koniec. Lubię nagrywać to, co nagrywam i albo bierzecie to, albo nie”. No i wzięli. Talent to zaledwie 20% sukcesu, ale to co zrobisz z tym talentem, cała twoja droga, którą przejdziesz, to jest pozostałe 80%.

JAKIE JEST TWOJE NAJLEPSZE WSPOMNIENIE ZWIĄZANE Z MUZYKĄ?

Mam ich bardzo wiele. Dzięki muzyce poznalałam wielu wspaniałych, ambitnych ludzi, którzy do tej pory w moim życiu stanowią bardzo ważny fundament tego, kim jestem. Natomiast jeżeli miałabym przytoczyć jedną sytuację... Grałam jeden z pierwszych małych koncertów, na którym cała setlista składała się z autorskich kompozycji. Na scenie w Klubokawiarni Towarzyska był ze mną Paweł Izdebski. Na sali mieści się maksymalnie 30 osób. Ludzie na tej sali znali wszystkie numery i śpiewali je razem ze mną. Bardzo mocno to przeżyłam, że oni znają te piosenki, że śpiewają je, że się cieszą nimi. Niesamowicie napędziło mnie to do działania.

CZY MASZ JAKIEŚ RADY DLA OSÓB, KTÓRE CHCIAŁYBY WYJŚĆ ZE SWOJĄ MUZYKĄ DO LUDZI, ALE BOJĄ SIĘ ZROBIĆ PIERWSZY KROK?

Wiem, że łatwo tak powiedzieć, ale najważniejsze jest, żeby nie zwracać uwagi na to, co myślą inni. Musisz skupić się na tym, czego Ty chcesz i robić to w zaparte. Rozwój jest możliwy tylko po przekroczeniu strefy własnego komfortu. Jeśli chcesz nauczyć się grać na ukulele, to kupujesz używane ukulele za 100 zł i zaczynasz, uczysz się. Nie ma czegoś takiego, że rzeczy zrobią się same. Na wszystko trzeba pracować i trzeba uczyć się ciągle przełamywać. Trzeba iść za swoim sercem. Jak jest Ci z czymś dobrze, to idź w to dalej. Twórz, graj... To będzie najpiękniejszy dar, jaki możesz sprawić sobie samemu i wszystkim innym.

JAK MYŚLISZ, CO BYŚ TERAZ ROBIŁA, GDYBYŚ NIE GRAŁA?

Życie niejako samo zweryfikowało odpowiedź na to pytanie. Pandemia zaciągnęła mnie do „śmiertelniczej” pracy i okazało się, że jest to faktycznie zwyczajne biuro, godzina 9:00-17:00. Myślę, że gdyby nie było ograniczeń związanych z pandemią, to postawiłabym na podróżowanie po świecie i dorabianie sobie w różnych miejscach na dalszą podróż. Kręci mnie myśl bycia w świecie. Na pewno nie chciałabym stać w miejscu.

DOROTA PISAREK

COŚ SIĘ KOŃCZY, COŚ SIĘ ZACZYNIA...

Dwudziestego drugiego lutego legendarny zespół Daft Punk opublikował na swoim kanale w serwisie YouTube ośmiominutowy klip pt. *Epilogue*, który nie pozostawał żadnych wątpliwości – po 28 latach preźnej działalności zespół zakończył karierę. To wielka strata dla świata muzyki, biorąc pod uwagę ilość hitów wydanych przez duet z Paryża i współpracę z takimi osobistościami jak Giorgio Moroder, ojciec muzyki elektronicznej czy The Weeknd albo Pharrell Williams. Utwory francuskich muzyków pojawiały się w innych utworach jako sample, a kosmiczne hełmy, z którymi nie rozstawali się artyści, były rozpoznawalne na całym świecie.

Ostatni album duetu pojawił się w 2013 roku i według recenzentów brzmiał jak podsumowanie dwudziestu lat twórczości. Całość albumu *Random Acces Memories* to mieszanka każdego stylu, z którym romansowało Daft Punk przez ponad 20 lat. Jest na nim klasyczna elektronika we współpracy z Moroderem i hity taneczne jak *Get Lucky* albo *Give Life Back to Music* oraz eksperimentalny *Contact*, który zawiera wątki z widzeń UFO na kuli ziemskiej. W krótkim „epitafium” należy również wspomnieć o muzyce filmowej do filmu *TRON: Dziedzictwo*. Sam film był niezbyt udany, jednak muzyka nadrabiała to, czego film nie miał. Album z soundtrackiem z filmu sprzedawał się na równi z ostatnim albumem paryskiego duetu i nadal plasuje się bardzo wysoko, a wielu znanych DJ-ów, w tym legendarny Moby, wydało album z remixami utworów z kontynuacji filmu *Tron*.

W takich sytuacjach zwykłem myśleć, że kończy się pewna era, jednak uważam, że jest to jedynie zwiastun nowych młodych muzyków, którzy są w stanie zająć miejsce Daft Punk i nadal tworzyć piękną, uwodzącą muzykę elektroniczną, która wprowadzi w ruch niejedną nogę na parapetówce lub dyskotece w klubie.

ALEKSY JAKUBIEC

ZŁODZIEJ DŽENTELMEN

RECENZJA SERIALU *LUPIN*

Francuzi już od dawna zachwycali kinematografią i swoimi dokonaniami na ekranie. Znajdują się tacy, którzy będą kochali kino z kraju wolności, a będą też tacy, którzy zmieszają wszystko z błotem. Zwyczajny zjadacz chleba, kiedy pomyśli o kinie francuskim, zapewne przed oczami zobaczy Louisa de Funesa, *Nietykalnych* albo w najlepszym przypadku *Fantomasa*. Żaden przecienny Kowalski nie zareaguje z zachwytem na nazwisko Arsene Lupin (wym. Arsene Lupę), który dla Francuzów jest kimś, kim jest Sherlock Holmes dla Brytyjczyków. Netflix postanowił wziąć jednego z bardziej rozpoznawalnych francuskich aktorów i wskrzesić obraz Złodzieja Džentelmena w bardziej współczesnej formie. Premiera widowiska serialowego przyszła niespodziewanie i zaskoczyła wszystkich. *Lupin* wdrapał się na szczyt „TOP 10 Netflix” w kilku krajach i od razu zrobiło się o nim głośno. Ale czym właściwie jest nowy *Lupin* i z jakimi problemami musiał się borykać?

Lubicie *Ocean's Eleven*, 21 albo *Plan doskonaly*? *Lupin* to serial dla was. Pierwszy odcinek to majstersztyk zwrotów akcji i plot twistów, a dopełnia je odcinek drugi, który świetnie koresponduje z fabułą pierwszego. Potem niestety jest pod górkę, jednak nie możemy skreślać jeszcze *Lupina*. To dobrze przemyślana fabuła z ciekawie dobranymi i wyrazistymi aktorami, którzy nadają charakteru całej produkcji. Nie obyło się bez kontrowersji w sprawie doboru odtwórcy roli głównego bohatera. Omar Sy sprawdza się świetnie w tej roli, jest charyzmatyczny i jednocześnie bardzo tajemniczy. Przeciwnicy takiej obsady zarzucali Netfliksowi wszechobecną poprawność polityczną i zrobienie z Arsena Lupina „czarn*cha” (sic!).



Oglądając serial, nawet na chwilę nie zwróciłem uwagi na kolor skóry któregokolwiek z bohaterów i należy „purystom” przedstawić fakty historyczne, według których Francja przez długi czas miała kolonię w afrykańskim Algierze, a migracja ludności czarnoskórej do Francji była nieunikniona. Nie należy się jednak nad tym pochyłać, ponieważ Omar Sy radzi sobie świetnie jako Złodziej Džentelmen.

Sezon pierwszy serialu rozwijał świat przedstawiony i ukazał część intryg, które zapewne zostaną rozwinięte w kontynuacji, pojawiło się kilka istotniejszych scen i wątków, a część pierwsza skończyła się potężnym *cliffhangerem* i zapowiedzią sezonu drugiego. Na pewno nie zostawił nas z niczym. Mocno zarysował, kto jest „tym dobrym”, a kto złym i zdążył zarysować fabułę na tyle, abyśmy polubili zarówno pierwszoplanowych, jak i drugoplanowych bohaterów.

Aby ocenić serial *Lupin*, musimy poczekać na jego kontynuację. Na razie to dobry wstęp do bardziej skomplikowanej historii. Mam nadzieję, że kontynuacja rozwinię wątki, które pojawiły się w pierwszej części i doda jakieś nowe, ciekawe historie i postaci. Francuzi nie powiedzieli jeszcze ostatniego słowa, jeśli chodzi o kino rozrywkowe, a po ostatnim „międzynarodowym zwrocie” Oscarów, wszystko jest możliwe.

ALEKSY JAKUBIEC

ŚMIECH PRZEZ KREW, POT I ŁZY

RECENZJA FILMU

Wszyscy moi przyjaciele nie żyją

„Kolejny film z Wieniąwą” – to hasło towarzyszyło filmwebowej loży szyderców, którzy z wyższością studenta filmówki lub krytyka filmowego wypowiadali się w negatywach o najnowszej produkcji Netflix'a, czyli *Wszyscy moi przyjaciele nie żyją*. Filmweb nigdy nie był miarodajnym serwisem filmowym. Każdy może postawić ocenę, nieważne czy oglądał film, czy też nie. Wiele osób określiło film jako głupi, niepoważny, pozywka dla debili (sic!) czy po prostu niewarty czasu. Opinie zarówno niedzielnych pochłaniaczy VOD, jak i krytyków były podzielone. Jedni uważają film za arcydzieło kina gatunkowego, które nawiązuje do wielkich produkcji Hollywood, a drudzy za kolejną polską porażkę spod czerwonego „N”. Nie pozostawia wątpliwości fakt, że to jedna z najbardziej kontrowersyjnych produkcji amerykańskiego giganta wydanych w Polsce. Rozmach produkcyjny, aktorski, realizacyjny i tematyczny. To mieszanka horroru, czarnej komedii, gore i typowego teen movie zza oceanu. Wiele nowych oraz starych twarzy, klisze, motywy i nawiązania do takich tytułów jak *Lśnienie* Stanleya Kubricka czy obszerniczego *American Pie*. Czy to naprawdę tak zły film? Jak jest naprawdę?

Scena otwierająca to majstersztuk kina kryminalnego. Pobojowisko, rzeźnia, scena wielokrotnego mordu i wszechobecna posoka. Młody, niedoświadczony policjant, w którego rolę wcielił się Michał Meyer, i stary wyjadacz, wyniszczony zapewne użytkami i pracą – w tej roli genialny Adam Woronowicz. Kamera, pokazując miejsce zbrodni, ujawnia konsekwencje wydarzeń minionej nocy sylwestrowej i robi świetny „fundament” pod resztę filmu. Co może zdarzyć się na niewinnej imprezie sylwestrowej grupy nastolatków? Dosłownie wszystko, jeśli w grę wchodzą tak stereotypowe postaci i ich relacje. Mamy zatem parę idealną: ona – grzeczna blondynka w długiej sukience, on – chłopiec w koszuli włożonej w spodnie, zapiętej po samą szyję; gospodarz imprezy w obciachowym, świętcznym sweterku; dwa „glonojady” (siostry Godlewskie były ewidentną inspiracją); para: aspirujący raper i uduchowiona „zodiakara”; dwóch ziomków (z czego jeden nieujawniony gej), którzy czekają na odpowiednią kobietę; były narkoman, fotograf i odludek; głęboko wierzący Francuz i dwie kolejne pary: jedna z dużą różnicą wieku, druga niezbyt dogadująca się (Wojciech Łozowski nadal próbuje być popularny).

Co może pójść nie tak? Dosłownie wszystko, jeśli w grę wchodzi alkohol, narkotyki i trochę ludzkich emocji. Scenariusz autorstwa Jana Belcla (to również reżyser) jest niezwykle spójny, ciekawy, pełen zwrotów akcji i płynnego przechodzenia między wątkami oraz scenami. To majstersztuk czarnej komedii. Postaci są spójne i zostają „sobą” do samego końca oraz idealnie się uzupełniają. Przy genialnej technicznej części scenariusza, razic w oczy może sam pomysł na fabułę. Film w Polsce wydaje się wysoce nieautentyczny. Co prawda *beer-pong* coraz częściej pojawia się na

„melanżach”, jednak czerwone kubki i ogólny klimat imprezy nie pasuje do polskich realiów. Oczywiście to tylko czepianie się – wielce prawdopodobne jest, że *Wszyscy moi przyjaciele...* to film nie tylko na rodzimy rynek, ale i dla zagranicy.

Dużo emocji budzi obsada. Mamy tu zarówno starych wyjadaczy, jak Adam Woronowicz, Mateusz Więcławek, Monika Krzywkowska czy Nikodem Rozbicki, jak i świeże „talenty”, jak Julia Wieniawa czy Adam Bobik, który co prawda pojawił się już w rodzimych produkcjach, jednak nie zabłysnął tak jasno w żadnej z nich. Aktorzy są zarówno autentyczni, jak i sztuczni, porywający i nudni, utalentowani i niezdolni. Całość daje tzw. „mocną tróję”. Nie jest źle, mogło być lepiej, cieszymy się tym, co mamy. Mocną stroną Netflixowej czarnej komedii jest fakt, że jest to prawdopodobnie jedna z niewielu produkcji tego gatunku. Czarna komedia nie jest szeroko reprezentowana na polskim rynku. Na przestrzeni kilkunastu lat było to najwyżej cztery lub pięć filmów, z czego najbardziej znane są *Ciało, Kołysanka* lub *Kochanie, chyba cię zabiłem*, jednak żaden z nich nie ma takiego rozmachu jak „film z Wieniąwą”. Co dostajemy w zamian za poświęcenie około dwóch godzin naszego życia? Na pewno kawał dobrej rozrywki w wykonaniu wcześniejszej niespotykany. Chociaż wiele elementów kuleje, na filmie można świetnie się bawić, o ile podejdziemy to niego z dystansem. Jako miłośnik kina zarówno tego zagranicznego, jak i polskiego czekałem na taki film, który śmieje się sam z siebie i nie ma wymuszonego cierpkiego humoru, ale bawi się konwencją i scenariuszem. Nie należy karcić go za usterki i wady. Cieszymy się wieczorem z tym filmem i doceńmy to, co można docenić w tak rzadko pojawiającym się gatunku.

ALEKSY JAKUBIEC

MALCOLM & MARIE

FILM *MALCOLM & MARIE* W REŻYSERII SAMA LEVINSONA (ZNANEGO JAKO TWÓRCA SERIALU *EUPHORIA*) TO PRODUKCJA NAPISANA ORAZ NAGRANA W CZASIE PANDEMII. OPowiADA HISTORIĘ O PEWNEJ MIŁOŚCI, O TYM JAK BEZSILNI JESTEŚMY WOBEC WŁASNYCH EMOCJI I JAK BARDZO JESTEŚMY W STANIE SKRZYWDZIĆ PSYCHICZNIE KOCHANĄ PRZEZ NAS OSOBĘ.

Produkcja wyróżnia się naganiem w czarno-białym formacie na 35 mm taśmie. Od strony technicznej nie ma się do czego przyczepić. Zdjęcia są piękne, kadry, za które odpowiadał Marcell Rév, to bardzo estetyczne, płynne ruchy kamery. Niesamowite bliskie ujęcia. Widoczne surowe ziarno dodaje jedynie charakteru. Za muzykę odpowiada Labrinth, który już wcześniej podejmował współpracę z Levinsonem. Bardzo klimatyczny, genialnie poprowadzony soundtrack zastępujący ciszę w przerwie pomiędzy dialogami. To właśnie na nich opiera się cały film. Na rozmowie pomiędzy bohaterami oraz na ich monologach.

Film opowiada historię dwóch młodych ludzi – utalentowanego reżysera Malcolma (John David Washington) oraz aktorki Marie, jego partnerki (Zendaya). Para wraca do swojego mieszkania po udanej premierze filmu Malcolma. Temperatura między nimi wzrasta, gdy dowiadujemy się, że dziewczyna w swojej mowie zapomniała podziękować Marie za wkład w produkcję, co prowadzi do kłótni między parą. Po krótkiej obserwacji widzimy, że kochankowie są pełni temperamentu. Nie dopuszczają się nawzajem do głosu. Moją ulubioną sceną jest przezabawnie napisany monolog Marie na temat Malcolma, który w tym samym momencie wyzywa ją, zajadając się mac&cheese. Wraz z rozwojem akcji dowiadujemy się, że film męski oparty jest na życiorysie Marie, która była uzależniona od narkotyków. Zostaje nam zadane pytanie: jak daleko jest w stanie się posunąć człowiek, aby psychicznie skrzywdzić drugą osobę? Malcolm udowadnia, że granica pomiędzy moralnością a jej brakiem jest prawie niewidoczna. Uderza w każdy czuły punkt dziewczyny, dręczy ją psychicznie, aby samemu poczuć się lepiej. Ona odpłaca mu się tym samym. Sceną, która zasługuje na pochwałę, jest monolog Zendayi na temat jej castingu do filmu Malcolma. Aktorka jest niesamowicie autentyczna w swojej niewinności, bezbronności, rozpaczliwej. Oglądając ten film, można poczuć się zmęczonym relacją pomiędzy parą. Ja miałam wrażenie „przygniecenia”, „wycieńczenia” ilością emocji. Niesamowity jest też monolog Malcolma na temat recenzji upolityczniającej jego film ze względu na rasę – bardzo współczesny. Długi, owszem, ale jak zagrany. Jak autentycznie wypowiedziane zostały te słowa, jakby skierowane



prosto do widza. Pokazują, jak skomplikowana jest ta relacja, ale też jak skomplikowany jest każdy z bohaterów i to, co składa się na jego świat.

„MOŻNA KRYTYKOWAĆ SYSTEM, KTÓRY JAK KAŻDY SYSTEM JEST BIAŁY, A W NASZEJ BRANŻY JEST BIAŁYM FACETEM. CAŁE ŻYCIE CZEKAM I PYTAM: GDZIE SĄ CI CZARNI FILMOWCY, BO MAM DOŚĆ BIAŁYCH BRYTYJSKICH CHŁOPTASI CAŁYCH W EMOCJACH, PRÓBUJĄCYCH PRZEZWYCIEŻYĆ WADE WRODZONĄ, BY OCALIĆ KRÓLOWĄ PRZED HITLEREM”.

Ostatni kadr filmu nie jest dla widza dostępny. Obserwujemy parę przez szybę, nie słyszymy ich rozmowy, nie widzimy twarzy. Dla mnie reprezentuje on obecność. Malcolm i Marie potrzebują siebie nawzajem. Te dwie osoby stojące w oddali przypominają mi obraz Caspara Friedricha *Zachód słońca*, opowiadający o miłości. Widać tu też mocną inspirację filmem *Kto się boi Virginii Woolf?* Mike'a Nicholса z 1966 roku. Wiele ma też wspólnego z *Historią małżeńską* Noah'a Baumbacha. Zwłaszcza scena kłótni. Bardzo dynamiczne dialogi, silnie zarysowane postaci. Siłą filmu jest jego minimalizm. Dwoje bohaterów, oszczędná scenografia, skupienie się na słowie, dzięki braku kolorów, które odwracają uwagę. Z pewnością jest to coś świeżego, nowego zwłaszcza dla młodego widza, niezapoznanego z dawną kinematografią. Polecam obejrzeć chociażby ze względu na formę.

KOSMA KOSIERKIEWICZ

SKRAWKI

RECENZJA FILMU *GUMMO*

BARBARA WERPACHOWSKA

FILM ZOSTAŁ OKRZYKNIĘTY PRZEZ NEW YORK TIMES NAJGORSZYM FILMEM ROKU 1997, JEDNAK MAM WRAŻENIE, ŻE KRYTYCY TEGO FILMU W BARDZO NIEWŁAŚCIWY SPOSÓB NASTAWILI SIĘ DO NIEGO. *GUMMO* RZECZYWIŚCIE ODSTAJE FORMATEM FABUŁY, FILMOWANIA, GRY AKTORSKIEJ LUB OGÓLNIE CAŁEGO KONCEPTU OD „DOBREGO KINA”. JEDNAK JEGO FORMA JEST DOPŁENIENIEM WSZYSTKICH SCEN NIEUDOLNIE POKAZYWANYCH W PRZECIĄGU DWÓCH GODZIN SEANSU.

Gummo to naturalizm sam przez się. Temat przewodni dotyczy uzależnionych od kleju dzieci z patologicznego miasta Xenia w USA w latach 90. Choć momentami abstrakcyjny, to uderzająco rzeczywisty. Nawet jeśli życiowe bańki, w których żyjemy, odcięły nas od takich scen, to uwiecznienie tego w postaci filmu i pokazanie większej widowni, może właśnie tej bardziej świadomej, skłoni do przemyśleń. Bo *Gummo* to kryzys, to absolutny upadek moralny i zatraceniu się w przyziemnym szaleństwie. Filmowe postaci, choć umieszczone w miarę współczesnych czasach, zostały pozbawione jakiekolwiek empatii, lecz w zamian tego możemy obserwować czyste związki przyczynowo-skutkowe, gdyby od podejmowanych decyzji zależały chwilowe potrzeby lub refleksje.

Linia fabularna właściwie nie istnieje w tym filmie. Zastępują ją losowo umieszczone etiudy nagrywane z ręki tanimi kamerami lub nagrane VHS-em sceny w postaci retrospekcji. Często te sceny nawiązują do brutalnych wspomnień. Do wątpliwości co do zabicia kota podwórkowego, wyszeptanych wspomnień o gwałcie czy pograżającą się w chorobie rozśpiewanej dziewczyny z sąsiedztwa. W tym filmie nie ma żadnych granic. Nie brakuje scen bezzębnych dzieci wdychających rozpuszczalnik, wychudzonych i nieludzko uformowanych ciał, nastolatków pozostawionych samych sobie. Każda kolejna scena *Gummo* może doprowadzić widza wręcz do odruchu wymiotnego. Żeby lepiej odebrać ten film, warto skupić się na postaci Królika, czyli cichego obserwatora Xeni.



Królik, choć sam przedstawiony jako dziecko pozostawione samo sobie, pojawia się od czasu do czasu na ekranie i jest personifikacją wszystkich cech przedstawionej w filmie społeczności. Bije od niego nieporównywalne opanowanie oraz akceptacja czasów, w których się znalazł. Jest łącznikiem między X a Y, a zarazem duchem pałtającym się nad miastem. Widać, że ma wpływ na bohaterów, jednak wydaje się też jakby żył dzięki działaniom podejmowanym przez innych. Dziecko bez celu, dziecko w polu z martwym kotem, dziecko w czapce królika w basenie z siostrami Sevigny. Pomiatane, a jednocześnie wolne w brzydotce naturalnie wytworzonej przez ludzi. Sceny kulminacyjne spajają i historie, i motywacje bohaterów. Patrząc na nie, zdamy sobie sprawę, że całe *Gummo* nie było o podludziach, melinach zawałonych śmieciami, pluskwach za obrazami czy czystej przemocy i gwałtach. Ostatnie dwie sceny ukazują po prostu futuryzm myśli, jaką się kierował Harmony Korine (reżyser). Królik całujący się z bliźniaczkami w basenie podczas ulewy jest nadal tylko narzędziem do przekazania myśli o naturze ludzkiej. Film dotyka bardzo wielu tematów godnych interpretacji i chwili refleksji jednak, żeby należycie to docenić, należy samemu zapoznać się z tą pozycją, gdyż zawiera ona o wiele więcej płaszczyzn wartych wychwycenia. Jest to też bardzo świadomy film dla ludzi potrafiących wychwytywać niuanse i cytatów kulturowe. Wystarczy dać się ponieść Royowi Orbisonowi i chwycić dłoń wyciągniętą przez Korinego.



SZALEŃSTWO NA EKRANIE

RECENZJA FILMU

Człowiek, który zabił Don Kichota



Około godziny 23, wygodnie rozłożyłem się na krześle i na następne dwie godziny i trzydzieści minut, przeniosłem się do Hiszpanii oraz dałem porwać się (nie) beztroskiemu szaleństwu w reżyserii Terry'ego Gilliama. Przed seansem, na temat samego filmu wiedziałem kilka rzeczy: że gra Adam Driver, czyli naprawdę dobry aktor z dużymi uszami (tak, grał Kylo Rena), znałem też zarys historii Don Kichota Cervantesa, no i dwa filmy reżysera, komediowe klasyki (*Monty Python i Święty Graal* oraz *Żywot Briana*). Wiem, że jego twórczy dorobek jest znacznie bardziej imponujący, obiecuję, że nadrobię.

Przed obejrzeniem filmu przeczytałem parę recenzji „krytyków filmowych” na Filmwebie (czego pod żadnym pozorem nie róbcie, gdy nie jesteście zdesperowani!) i poznalem z tego samego źródła historię powstawania samego filmu, o której wspomina się w praktycznie każdym artykule o filmie, dlatego nie będę tego powtarzał. Ba! Jest nawet cały dokument opowiadający o starciu reżysera z postacią Don Kichota. Zachęcam was, żebyście zapoznali się z tą historią, a jeżeli interesuje was kino, to zobaczcie film *Zagubiony w La Manchy*.

W każdym razie na produkcję filmu przeznaczono 32 miliony dolarów! W obsadzie był między innymi Johnny Deep. Niestety, choć szkodził się potencjalny hit, to cały projekt przepadł, gdy pracę na planie zdjęciowym (w Hiszpanii) utrudniały ryczące samoloty z pobliskiej bazy NATO, a niewiele czasu później wielka ulewa zniszczyła sprzęt, zmieniła krajobraz oraz podburzyła morale ekipy. Reżyser jeszcze przez pewien czas nie tracił nadziei, szukał rozwiązań, próbował znaleźć nowych aktorów, lecz koniec końców poddał się, choć marzenie o opowiedzeniu tej historii pozostało.

A TERAZ WRESZCIE CZĘŚĆ, W KTÓREJ MÓWIĘ O FILMIE

Co zagrało w filmie? Aktorzy. Adam Driver bardzo zgrabnie wcielił się genialnego hollywoodzkiego reżysera – głównego bohatera, który stracił wenę i w wyniku niespodziewanego splotu zdarzeń wpada w tarapaty oraz wyrusza w podróż z Don Kichotem, a w trakcie filmu przechodzi diametralną przemianę. Jego mimika i trochę „pocieszny” wygląd sprawiają, że idealnie wpasowuje się do pełniącego rolę giermka oraz mylonego z Sancho Pansą przez tytułowego bohatera, ekscentrycznego reżysera. Pierwsze skrzypce bez wątpienia gra jednak Johnatan Pryce, wcielający się w rolę tytułowego Don Kichota, a raczej szewca, który uwierzył, że jest legendarnym blondym rycerzem. Idealnie odegrał szaleństwo, nieprzewidywalność i żyjące w postaci rycerskie ideały, a przy tym pokazał zagubienie oraz swego rodzaju nieporadność rycerza, gdy ten mierzy się z drwiącym z niego społeczeństwem. Kpiarski uśmiech bohatera to miód na moje serce. Warto też wspomnieć o Joanie Ribeiro, która wcieliła się w postać Angelici, czyli Dulcynei tej opowieści, choć jej postać to raczej luźna satyra motywu damy w opałach oraz wybranki serca. Aktorka jest Portugalką, więc wyraźny akcent idealnie wpasowuje się w charakter dziewczyny z prowincji, marżącej niegdyś o karierze aktorki. Bardzo też podobał mi się Oscar Jaenada, który zagrał pojawiającego się znikąt Cygana (swoją drogą, bardzo lubię ten wątek). Ten gość mógłby zagrać Jacka Sparrowa, gdyby Hiszpanie robili swoich Piratów z Karaibów. Nie podobał mi się za to główny antagonist – wielki zły mafioso Rosjanin, grany przez Jordiego Mollę. Nie było w nim żadnej ikry, czegoś, co by mnie zaskoczyło, ale to problem wielu filmowych złoczyńców (o tym, czy głównym antagonistą Don Kichota jest może jednak świat, można dyskutować).

Przejdzmy teraz do czegoś, co jest zdecydowanie zaraz po Johnnatanie Prycie największą zaletą filmu. To scenografia, kostiumy oraz zdjęcia tak dobrze podkreślające surrealistyczny i absurdalny klimat opowieści. Momenty, w których elementy realistyczne i współczesne, takie jak osada uchodźców, w której nasz rycerski duet znajduje schronienie, mieszają się z tym, co fantastyczne oraz pochodzące z zamieszanych czasów. Wraz z trwaniem filmu te elementy coraz gwałtowniej miksuują się ze sobą, co po pierwsze daje świetnie wyglądające wizualnie sceny (średniowieczny królewski orszak otoczony przez ubranych w garniaki bodyguardów), jak i sprawia, że powoli, podobnie jak bohaterowie, popadamy w obłęd oraz z trudem przychodzi nam stwierdzenie, co jest realne, a co już nie. Gdy wspomniałem o wiosce uchodźców, muszę powiedzieć, że podobały mi się delikatnie dotykane, a raczej muskane problemy społeczne, polityczne itp., takie jak na przykład konfrontacja marzeń z trudną rzeczywistością czy absurdy oraz swego rodzaju zepsucie branży filmowej. Nie są nam wciskane na siłę, lecz również niestety nie skłaniają do głębszych refleksji. Teraz pora ponarzekać.

Zacznijmy od najbardziej przyziemnej rzeczy, czyli historii. Sama w sobie jest naprawdę dobra, ma pokręcone zwroty akcji, umie rozmieszczyć i zaskoczyć oraz bawi konwencją historii Don Kichota. Miałem jednak poczucie niedosytu oraz swego rodzaju braku konsekwencji we wprowadzaniu nowych wątków, które mogły zostać rozwinięte lub naprawdę ładnie zamknięte w finale. Ponadto w filmie o szalonej postaci jest - za dużo chaosu? Tak, chociaż bardzo podobała mi się nieprzewidywalność tego, co zaraz zobaczę na ekranie, to chciałbym doznać swoistego *katharsis*, ukojenia, ale nic takiego się nie dzieje, przynajmniej ja tego nie doświadczylem. Co prawda zdaję sobie sprawę, że być może po prostu, gdzieś z tyłu głowy liczyłem na *happy end* (ups, to chyba nie spoilery), lecz w każdym razie nie dostałem szansy pożegnania się z bohaterami oraz niezbyt miałem jak rozmyślać o ich dalszych losach, dlatego poczułem pustkę, niedosyt. Finał jak widać, w mojej opinii, wyszedł najgorzej, lecz nadal film ten jest moim zdaniem godny polecenia, szczególnie jeśli niestraszne wam wiatraki, lubicie surrealistyczne kino i chcecie zobaczyć kilka mniej znanych aktorskich twarzy. Jeżeli jednak filmu nie obejrzycie, to nie ma co się przejmować, Don Kichot z La Manchy da sobie radę. Bo jest nieśmiertelny.

JULIAN STACHOWSKI

Yōko Ogawa

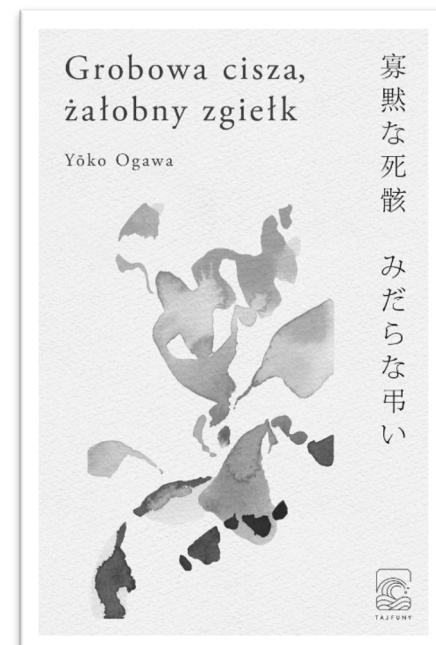
Grobowa cisza, żałobny zgiełk

Grobowa cisza, żałobny zgiełk to powieść, na którą składa się 11 opowiadań. Mimo zupełnie różnych od siebie historii, wszystkie w taki czy inny sposób traktują o śmierci. Śmierci pod wszelkimi postaciami – morderstwa, samobójstwa, śmierci chomika, męża, dziecka. Śmierć pojawia się w fantazjach i w marzeniach. Ciężki z pozoru temat zostaje potraktowany w zupełnie zaskakujący sposób, inny niż można by się tego spodziewać. Zamiast uciekać od smutku i ciemności, do czego jako zachodnie społeczeństwo jesteśmy przyzwyczajeni, Ogawa pozwala bohaterom zanurzyć się w tym, czego właśnie doświadczają. W sposobie prowadzenia narracji widoczny jest japoński pogląd na świat, o którym Jun'ichirō Tanizaki pisał w swoim eseju z 1933 roku zatytułowanym *Pochwałą cienia*:

Jako ludzie orientu, znajdujemy satysfakcję w każdym otoczeniu, w jakim się znajdziemy, zadowalamy się rzeczami takimi, jakie są i ciemność nie powoduje niezadowolenia, godzimy się z nią jako nieuniknioną. Jeśli brakuje światła, to znaczy, że go nie ma; zanurzymy się w ciemności i tam odkryjemy jej własne szczególne piękno.

Po całkiem niewinnie zaczynającym się popołudniu w cukierni, otwierającym zbiór opowiadań, zostaniemy zabrani do zoo, szpitala, muzeum tortur, pokoi hotelowych i niemniej fascynujących zaciszy domowych. Groteska, surrealizm i wyważona makabryczność; miejscami odraza i obrzydliwość – to wszystko buduje stopniowo nawarstwiający się podskórny niepokój, ale zarazem fascynację, która mimo strachu przed tym, co zaraz może się wydarzyć, każe przewracać kolejne strony. Opowiedziane przez Ogawę historie są niezwykle kameralne i przyziemne, nie dotyczą wielkich ludzi, spraw, nawet uczuć, ale za to tak eksponują rzeczy codzienne i znane, że powodują niespodziewane poczucie podniosłości. Autorka stworzyła niesamowity nastrój niepokoju, który niemal jak kropla, która drażni skałę, sukcesywnie wyciekając, wypełnia jakieś nieznane dotąd przestrzenie w sercu i skapuje na – być może nieodkrytą dotąd – wrażliwość.

Grobowa cisza nie jest zbiorem opowiadań, do którego wraca się raz na miesiąc, aby przeczytać jedną z odrębnych historii. Kolejne opowiadania są powiązane ze sobą w sposób niezwykle zaskakujący i subtelny, dlatego tak ważne jest, aby czytać je jedno po drugim, w jeden czy dwa wieczory.



[powieść szkatulkowa]
Typ powieści, której fabuła składa się z kilku odrębnych opowiadań, połączenie których daje pełny obraz fabuły, a każde z opowiadań znajduje się w tekście w sposób nieprzypadkowy.

GOSIA MĄKA

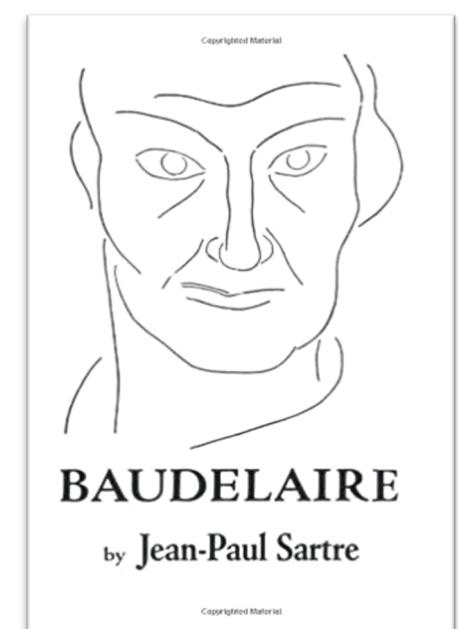
Jean-Paul Sartre Baudelaire

Egzistencjalno-psychologiczny esej Jean-Paula Sartre'a o poecie wyklętym, narkomanie, dandysie i mizoginie to nie tylko biografia Baudelaire'a, ale dogłębiańska analiza mechanizmów świadomości oraz idei tego poety. Lektura tej pozycji nie dość, że tłumaczy wszystkie decyzje podejmowane przez Baudelaire'a, które bardzo często wydają się absurdalne i nielogiczne, to porusza wiele czysto filozoficznych zagadnień. Filozof posługuje się niezwykle złożonym, jak i finezyjnym językiem, trzeba pozwolić się ponieść tej lekturze i skupić na każdym zdaniu. Należyte skupienie się na tej książce przybliża czytelnikowi bardzo dokładnie każdy aspekt życia i twórczości Baudelaire'a. Poruszone zostały tam kwestie jego kazirodczej miłości do matki, masochistycznych fantazji seksualnych, toksycznych relacji damsco-męskich, jak również postrzegania przez artystę sztuki, Boga, dobra i zła czy kreacji własnej osoby.

Wystrzelił jak raca, spalił się w jednym z owych „spazmów”, o których wspomina tak często, a potem ogień zgasił: przeżył samego siebie.

Głównym zarzutem krytyków jest bardzo kontrowersyjna teza wysnuta przez Sartre'a, w której filozof zakłada, że Charles Baudelaire umyślnie kreował swoje życie tak, aby było jak najbardziej niezwykłe. Właściwie to Sartre nie ma innych źródeł, jak tylko zapiski z dzienników, listy lub wspomnienia najpopularniejszych wydarzeń z życia artysty. Przez to można by spojrzeć na te dywagacje bardzo nieprzychylnie, bo właściwie niczym nie są potwierdzone, a niektóre założenia wykraczają w takie obszary, że tylko Baudelaire mógłby potwierdzić ich prawdziwość. Jednak warsztat pisarski oraz dobrą argumentów i fragmentów z dzienników daje nieodparte wrażenie, że Sartre bardzo dobrze znał naturę francuskiego poety. Rozkłada on osobowość Baudelaire'a na tyle, momentami zaskakujących, czynników, że wiele z nich zostaje w pamięci na bardzo długo i staje się kolejnym tematem do osobistych rozoważań. Ale przez całą lekturę odnosi się wrażenie, że to, co pisze Sartre, jest prawdą, bo jak inaczej można wytlumaczyć słowa, jakimi Baudelaire zwracał się do matki w listach, albo to, że angażował się w relacje, które nie miały prawa się powieść. Sama postawa Baudelaire'a podczas procesu o tom poetycki *Kwiaty zła*, w którym został oskarżony o znieważenie niektórymi wierszami publicznej moralności, powinna zwrócić uwagę zainteresowanego na pobudki kierujące poetą.

Nie da się inaczej wytlumaczyć tych wszystkich wydarzeń, jak tylko tym, że ten paryski dandys miał bardzo silną potrzebę stworzenia czegoś jeszcze bardziej doskonałego od własnej poezji, ponieważ Baudelaire nie traktował liryki jako własnego spełnienia. Wnikliwa obserwacja otaczającego go paryskiego półświatka, trudna relacja z rodzicami w dzieciństwie oraz silny pociąg do werterycznego cierpienia zainspirowały go do postawienia wszystkiego na jedną kartę. Z tej książki kreuje się bardzo wyrafinowany obraz jego charakteru. Zdecydowanie warto zapoznać się z tą pozycją Sartre'a, bo uzupełnia ona bardzo dobrze tematykę twórczości Charlesa Baudelaire'a, ale też jest niezwykle interesująca pod względem filozoficznym.



BARBARA WERPACHOWSKA

MAGIA baletu |

LUDZIE NIECIERPLIWIE SADOWIĄ SIĘ NA KRZESŁACH. GASNĄ ŚWIATŁA. PO CHWILI ROZBRZMIEWAJĄ SŁODKIE DŹWIĘKI MUZYKI KLASYCZNEJ. JESTEŚMY W TEATRZE, A NA SCENĘ POWOLI SUNIE GŁÓWNY BOHATER DZISIEJSZEGO WIECZORU - BALET JEZIORO ŁABĘDZIE.

Jak w każdym pałacu królewskim, wszystko zaczyna się od uczty. Na scenie bawią się dworzanie, a baletnice skaczą tak lekko, jakby nawet podmuch wiatru mógł je unieść. Kiedy na środek wbiega szczerzący się Błazen, uśmiecha się cała widownia. Postać Błazna wprowadza beztroską, euforyczną energię. Czerwono-niebieski strój i charakterystyczna kukla wyróżniają go z tłumu, a uśmiech od ucha do ucha sprawia, że samemu chce się wbić na scenę i dołączyć do dynamicznego tańca. Od figlarnej postaci bije ciepło i radość, kiedy wiruje wśród poddanych. Zabiera widzów w inny, fascynujący wymiar i zabawa nabiera tempa. A ta muzyka! *No. I Scène: Allegro giusto* Piotra Czajkowskiego jest uroczysta, dźwięczna, skoczna - idealna do piasów na królewskim dworze. Pomaga wspiąć się w klimat wspaniałego balu. Następnie wbiega Książę Zygfryd i preży się na scenie. Gdy zaczyna tańczyć z damami dworu, rozbrzmiewa melodia *No. 2 Waltz: Tempo di valse*, dobrze znana już wielu ludziom na całym świecie. Najpierw delikatne skrzypce i wiolonczele, potem donośna muzyka powoli wypełnia całą salę dzięki kontrabasom, puzonom i trójkątom o srebrzystych dźwiękach.

W kolejnej scenie, kiedy Książę Zygfryd poznaje królową łabędzi, Odettę, świat baletu kwitnie na naszych oczach. Muzyka to bardzo istotny element każdego spektaklu baletowego. To nie tło, a jedna z aktorek, bo przecież jest jednym z fundamentów całej sztuki. Mogę się założyć, że o *Jeziорze Łabędzim* słyszał niemal każdy i niejednemu o uszy obiła się „łabędzia” muzyka; w szczególności takie kawałki jak *Dance of the Swans* czy prawdopodobnie najbardziej znane *Dance of the Little Swans*. Muszę wspomnieć, że muzyka do Jeziorka Czajkowskiego to istny majstersztyk. Nawet ktoś, kto nigdy nie oglądał spektaklu, wyobrazi sobie całą historię za pomocą samych brzmień skrzypiec czy fletu. A momenty, kiedy na scenie pojawia się Czarny Łabędź, budzą mój zachwyty. Jego ruchy - lekkie, lecz jednocześnie rodzące lęk, oraz muzyka, stale budująca napięcie i atmosferę grozy, ożywiają w widzach największe emocje. Właśnie gdy Czarny Łabędź ukazuje się po raz pierwszy, dobiera nas słynna melodia *Scène Moderato*.



Postać rozsiewa wokoło aurę tajemniczości i mroku, a widz siedzi w milczeniu, czekając na kolejny krok ciemnej sylwetki. Czarny Łabędź oraz Błazen to charaktery, które skupią się na sobie całą uwagę. Wnoszą do przedstawienia coś nieopisanego, a muzyka im towarzysząca jest czarująca. Jej twórca był muzycznym poetą, którego nuty tchnęły życie w cały spektakl - nadały barw choreografii, mieniającym się strojom i baśniowym tancerzom. I kiedy docierają do mnie pierwsze dźwięki *Dance of the Little Swans*, widzę jak wszyscy widzowie poprawiają się nerwowo na krzesłach, by lepiej widzieć płaszcujące „małe łabędzie”, które mogą szczerzyć się idealną synchronizacją i zwinnością. Natomiast tańce Księcia z Białym Łabędziem to połączenie gracji, elegancji i delikatności. Poruszają się z pasją, unosząc się prawie nad sceną, obracając się oraz przybierając nieziemskie pozy. Całość sztuki jest niczym miód na uszy i chłodny kompres na moje oczy, które odcinają mnie od rzeczywistości, zostawiając w zawieszeniu między snem a realnością. Balet to gatunek, który cudownie ogląda się zimą, mogąc zrzucić z siebie ośnieżony płaszcz po wejściu do gmachu teatru, zasiąć wygodnie w czerwonym fotelu i z zachwytem obserwować barwną bajkę, która nieomal wciąga widza na środek sceny (np. wystawianego w zimie *Dziadka do Orzechów*).



Obserwowany przezem mnie w kolejnych scenach Błazen budzi mój podziw. Myślę sobie, że musiał ciężko pracować, by mieć tyle siły i energii, by bez przerwy i bez większego wysiłku skakać, kręcić się i wdzięczyć podczas spektaklu. A kiedy baletnice dobierają się w pary z solistami baletu, cała magia nasila się. To niesamowite, że przez całe przedstawienie tancerze nie odezwą się do nas ani słowem, a i tak ich subtelne, dopracowane do perfekcji ruchy i mimika wystarczą, by przekazać nam historię miłości Księcia i Odetty. Baletnice i ich partnerzy to nie tylko świetni tancerze, ale i aktorzy. Z ich twarzy można czytać jak z otwartej księgi. Dzięki nim poznajemy całą historię w sposób zupełnie inny od tego, w jaki odbieramy świat na co dzień. Zewsząd otaczają nas słowa, w których potoku można by wręcz utonąć, oraz liczne głośne dźwięki, które nie są muzyką dla naszej duszy. Wchodząc na salę, wkraczamy w zupełnie inną rzeczywistość. Odcinamy się od hałasu i całą uwagę skupiamy na skapanych w świetle sylwetkach, wsłuchując się w pierwsze odgrywane akordy.

Na twarzach widzów widzę takie zaabsorbowanie, jakby sami brali udział w tej wielkiej scenicznej uroczystości. Przez cały spektakl panuje podniosła atmosfera i nikt nie śmie zakłócić ciszy; każdy wpatruje się w scenę jak w obrazek. Tancerze poruszają się z hipnotyzującym powabem i zręcznością, ich ruchy idealnie zgrywają się z ruchami partnerów. Wszystko co robią, jest w punkt. Nikt nie wykonuje kroku, który odbiegałby od rytmu choćby o sekundę, ani gestu, który mógłby wynurzyć tancerza z całości i zburzyć harmonię. Przez półtorej godziny wszyscy są jednością. Finalnie za nimi lata praktyki – do *Jeziorka Łabędziego* i innych światowej sławy baletów, wybiera się samych mistrzów. A my, jako zwykli ludzie, mamy szansę zobaczyć tych mistrzów na własne oczy!

Intryguje mnie, jak wizerunek roli kreowanej na scenie przez aktora wpływa na moje postrzeganie go poza teatrem. Patrząc na to, co mówi i jak zachowuje się wykonawca na deskach, zastanawiam się czy w życiu prawdziwym jest podobny do tej postaci, którą gra. I wtedy właśnie w głowie zrodziła mi się myśl, że ci soliści baletowi wręcz nie mogą różnić się od charakterów, w które się wcielają! Czy osoba, która na co dzień jest opryskliwa, grubiańska i zuchwała, mogłaby grać kogoś, od kogo bije takie добро i wyrafinowanie? Kto porusza się z taką klasą i uśmiecha się czarującco? Mimo że pod tym uśmiechem kryje się grymas ogromnego bólu, wycieczki, godziny praktyki, setki upadków i urazów, wielkie poświęcenie? Zawsze podziwiam ludzi tańczących w baletcie. Od najmłodszych lat musieli uczyć się pokory, dyscypliny i samokrytyki, bez których nie zasłiliby tak daleko. Czy człowiek całkowicie poświęcający się swojej pasji, zmagający się z bólem, który musi znieść zaciskając zęby - nie jest szlachetny nie tylko na scenie, w świetle reflektorów - ale także poza nią? Na baletcie *Śpiąca Królewna*, który również miałam szczęście oglądać, primabalerina grająca Aurorę zwisnęła nogę. Źle skoczyła, a może but jej się obluzował. Musiała zbiec ze sceny, a z nawracającą kontuzją będzie zmagała się pewnie do końca życia. Na pewno minęły tygodnie, nim mogła wrócić do zawodu. Tak wygląda rzeczywistość tancerzy baletowych. Naszło mnie wtedy pytanie, czy przyjemność widza jest warta tych nienaturalnych pozycji ciała, mnóstwa wyrzeczeń i nadludzkiej pracy mięśni. Choć z drugiej strony przez tancerzy baletowych przemawia taka zawzięta, prawdziwa pasja... Dzięki wytrwałości tych artystów i ich zaangażowaniu można oglądać takie widowiska, podczas których ma się ciarki na rękach, wielkie wzruszenie chwytu za gardło i tylko pragnie się wskoczyć w baśniowy, urokliwy świat baletu. Jedną nogą, już, już można nawet do niego wejść, uważając jednocześnie, żeby nikt nam nie zasłonił sceny i siadając na brzeżku krzesła, chlonąc czar płynący wprost na nas. Czy tego właśnie nie oczekuje się od baletmistrzów i baletnic? Żeby przenieśli nas gdzieś daleko, gdzie żyją same dobre dusze, śmiejące się do dźwięków muzyki, od których bije charyzma, spokój i miłość? Dzięki którym możemy zapomnieć o wielkim, bożym świecie, mając właśnie przed sobą ten malutki, fantazyjny, w którym na naszych oczach rodzi się sztuka. Możemy poczuć się jak prawdziwy bohater powieści, doświadczający czarów na własnej skórze.

Wychodząc ze spektaklu baletowego, za każdym razem czuję, że aktorom udało się wciągnąć mnie w tę inną, fantastyczną rzeczywistość, i wcale tak prędko z niej nie wyjdę! Błyszczące stroje znikną ze sceny, muzyka ucichnie, sala opustoszeje, lecz uczucie magii w moim sercu pozostanie. Jakby jeszcze na scenie dyskretnie podrygiwał Błazen i z blykiem w oku posyłał mi zapraszające do tańca uśmiechy...

BASIA WITAN

1 marca mija dziesięć (sic!) lat od morderstwa Jolanty Brzeskiej – działaczki społecznej, która walczyła przeciwko reprewatyzacji. Do tej pory sprawcom nie wytoczono procesu. Spodziewacie się, że w dziesięciolecie o sprawie powinno być głośno, wszyscy powinni wiedzieć? Sprawdźmy zatem. Onet.pl nie napisał nic o tej sprawie. Strona internetowa Radia Zet wspominała o tym ostatnio w 2018 roku – w 7. rocznicę. Na Wirtualnej Polsce nie znalazłem żadnego newsa na ten temat. Rmf24.pl również nie napisał nic. Fakty TVN nie wspominaly. Znalazłem kilka artykułów na Polsat News – byłem naprawdę pozytywnie zaskoczony. Nie zmienia to faktu, że sprawą zdecydowanie nie jest wystarczająco nagłaśniana w mediach. Uważam to za skandaliczne. Ten temat powinien być nieustannie walkowany przez polskie media i powtarzany, aż każdy będzie znał całą historię na pamięć. Jolanta Brzeska zasługuje na sprawiedliwość. Jej historię musi poznać jeszcze więcej osób.

WSZYSTKICH NAS nie spalicie

MORDERSTWO JOLANTY BRZESKIEJ

DZIKA REPRYWATYZACJA

„Dla mnie ona nie jest dzika, tylko normalna” – powiedziała kiedyś Hanna Gronkiewicz-Waltz w rozmowie z Piotrem Marciakiem w *Faktach po faktach*. Normalna, tak? Wyobraźmy sobie taką sytuację. Młode małżeństwo w latach 50. XX wieku dostaje mieszkanie w kamienicy na warszawskim Mokotowie. Mieszkają w tym mieszkaniu przez pięćdziesiąt lat. Po tych pięćdziesięciu latach dwóch bogatych mężczyzn przychodzi do mieszkania tego starszego już małżeństwa. „Moje, kupiłem. Należy się 2500 miesięcznie”. Czy to normalne? Tym z was, którzy nie wiedzą, jak działa dzika reprewatyzacja i właśnie zdziwieni zastanawiają się, jak to możliwe, pokrótkę tłumaczę. Po II wojnie światowej Warszawa była miastem złożonym z gruzów. Większość budynków była zniszczona i niezdarna do zamieszkania. Warszawiacy wspólnie odbudowywali swoje miasto. Na mocy Dekrebu Bieruta wszystkie warszawskie nieruchomości zostały znacjonalizowane, czyli upublicznione. I później przez pół wieku te nieruchomości były publiczne. Zamieszkiwały w nich rodziny. Po upadku PRL właściciele tych kamienic, a właściwie nie tych, tylko takich samych, które stały tam przed wojną, zostały zniszczone i odbudowane, zgłoszają swoje roszczenia do tych kamienic. A gdy ci ludzie mieszkają już za granicą albo zwyczajnie nie chce im się samodzielnie odbierać kamienicy, sprzedają roszczenia za drobne bogatym kapitalistom. W ten sposób w posiadanie kamienic zamieszkałych przez polskie rodziny wchodzili bogaci synowie gangsterów, czy też po prostu gangsterzy.

KOLEKCJONER KAMIENIC

Jednym z nich jest Marek Mossakowski, któremu słusznie nadano pseudonim „kolekcjoner kamienic”. To syn Zygmunta Mossakowskiego – przestępca antykwariusza, który był zamieszany w przemyt złota w czasach PRL, a także nielegalnie zakupił antyki od przyszłego prezydenta Warszawy Pawła Piskorskiego, tym samym pomagając mu zlegalizować jego majątek, o czym w 2017 roku pisała Gazeta Wyborcza. Marek Mossakowski kupował roszczenia od „właścicieli kamienic” za psie pieniądze. Warszawski ratusz z zaskakującą konsekwencją i chęcią spełnia jego żądania i oddaje „należące się mu” kamienice. Rekordem i jednocześnie szczytem absurdzu jest kamienica przy ulicy Hożej 25, w ścisłym centrum stolicy. Marek Mossakowski przejął ją za 50 (sic!) polskich złotych. Teoretycznie nie można było legalnie kupować kamienic w tak absurdalnie niskich cenach. Jednak ratusz, skarówka i sędziowie nie przejęli się tym procederem. To pokazuje jak bardzo skorumpowany jest polski system i daje do myślenia, ile osób może być w to zamieszanych.

KAMIENICA PRZY NABIELAKA 9

Za roszczenia do kamienicy przy ulicy Nabiela 9 na warszawskim Mokotowie Marek Mossakowski zapłacił 1500 zł. Kolejne 300 zł wydał na prawo do odszkodowania za sprzedane przez miasto mieszkania. Kamienica została mu wydana w 2006 roku przez komisarza Mirosława Kochalskiego. „Kolekcjonerowi” zostało wypłacone prawie 2 miliony złotych odszkodowania. Zrobił świetny biznes. Kapitalistom jednak nigdy nie jest mało. Mossakowski postanowił dręczyć mieszkańców kamienicy – żądać od nich niebotycznych czynszów, których nie byli w stanie zapłacić. Jedną z ofiar reprewatyzacji stała się Jolanta Brzeska – siedemdziesięcioletnia kobieta, której ojciec uczestniczył w odbudowie kamienicy. Mieszkala ona w niej całe życie. Według jej sprawozdania 25 kwietnia 2006 roku do jej mieszkania wtargnął Marek Mossakowski z kilkuosobową ochroną. Powiedział, że przeszędł obejrzeć swoją własność. Nakazał emerytce się wyprowadzić, a gdy ta odmówiła, podniósł czynsz do 2000 zł za miesiąc. Kobieta nie była w stanie zapłacić tyle ze swojej emerytury. Po jakimś czasie sąd wydał Jolancie Brzeskiej nakaz eksmisji. Marek Mossakowski i jego wspólnicy – m. in. Hubert Massalski „zarządcą” kamienic i Kamil Kobylarz „kierowca” Mossakowskiego, który zajmował się czyszczeniem kamienic – nachodzili później kobietę w nocy, rozcinali drzwi szlifierką i stosowali nieludzkie, bestialskie praktyki. Tak samo traktowali innych lokatorów „ich” kamienic. Zastraszały bezbronnych, często starszych ludzi. „Prawo” i skorumpowany antyludzki system stały po stronie oprawców.

WARSZAWSKIE STOWARZYSZENIE LOKATORÓW

Jolanta Brzeska wraz z innymi pokrzywdzonymi przez dziką reprewatyzację założyła Warszawskie Stowarzyszenie Lokatorów – organizację działającą na rzecz najemców lokali mieszkalnych. Stowarzyszenie to działa do dziś. W 2010 roku złożyło ono zawiadomienie do prokuratury w sprawie możliwości popełnienia przestępstwa przez zorganizowaną grupę przestępczą, chodziło oczywiście o działania Marka Mossakowskiego. Prokuratura umorzyła sprawę, a ratusz Hanny Gronkiewicz-Waltz nie zainteresował się nią – nadal oddawał nieruchomości zachłannym kapitalistom (nawet do jednej nieruchomości dziennie!).

MORDERSTWO ZE SZCZEGÓLNYM OKRUCIENIESTWEM

1 marca 2011 roku Jolanta Brzeska po odebraniu emerytury z banku wróciła do domu. Stamąd została porwana przez najprawdopodobniej dwóch lub trzech mężczyzn. Została przewieziona do Lasu Kabackiego, gdzie następnie została spalona żywcem. Ekspertyza sądowa wykazała, że w momencie, gdy płonęła, kobieta była nieprzytomna. Prawdopodobne jest, że mężczyźni mieli na celu zastraszenie jej przez polanie jej łatwopalną ciecza, jednak na skutek walki i stawiania przez Jolantę Brzeską oporu doszło do podpalenia. O godzinie 16 zwęglone, lecz nadal tłace się, zwłoki znalazły przypadek spacerowicz. Początkowo mokotowska komenda policji nie zidentyfikowała kobiety. Przypuszczały samobójstwo. Dopiero po kilku dniach policja połączyła zgłoszenie zaginięcia Brzeskiej ze znalezionymi zwłokami.

Gdy informacja o znalezieniu zwłok Jolanty Brzeskiej dociera do opinii publicznej, działacze Warszawskiego Stowarzyszenia Lokatorów, poruszeni obywatele, a także część dziennikarzy zaczyna patrzyć policji na rękę. Odbywa się kilka protestów które domagają się sprawiedliwości. Mimo tego śledztwo jest powolne i sprawia wrażenie prowadzonego od niechcenia. Nieżyczliwe w stosunku do policji twierdzą, że prowadzone jest w taki sposób celowo. Dopiero po 4 miesiącach policja zaczyna rozważać zabójstwo. Przez 4 miesiące uważała, że ponad siedemdziesięcioletnia kobieta samodzielnie podpalila się w Lasku Kabackim, a następnie ukryła kanister z łatwopalną ciecza. Dodatkowo, policjant, który badał próbki z mieszkania Brzeskiej parę dni później popełnił samobójstwo.

Dopiero wiele lat później powstała szczegółowa analiza śledztwa. Oto jej fragment: „Mimo wskazań wielu świadków, że związek z jej zgonem mogą mieć panowie Marek Mossakowski i Hubert Massalski, przesłuchano ich dopiero [...] 7 miesięcy po zdarzeniu. [...] poprzestano na ich przesłuchaniu bez weryfikowania ich ewentualnego alibi [...] pomimo podania przez Marka Mossakowskiego w zeznaniach, że w dniu 3 marca 2011 roku, a więc dwa dni po zdarzeniu, miał kolizję drogową, samochód uległ całkowitemu zniszczeniu i wstała go do konkretnego warsztatu, nie sprawdzono tego”. Ponadto billingu telefonów obu mężczyzn zniknęły z akt śledztwa w niewyjaśnionych okolicznościach.

PAMIĘĆ O BOHATERCE

Mimo że media niechętnie wypowiadają się o sprawie, ponieważ polskim elitom jest to nie na rękę, pamięć o bohaterce trwa nadal. Jolanta Brzeska stała się symbolem walki z reprewatyzacją i prześladowaniem najemców. Portret emerytki pojawia się na murach warszawskich kamienic w postaci graffiti, a także na protestach i pikietach lokatorów. Jej imieniem nazwano Warszawskie Stowarzyszenie Lokatorów. 1 marca 2017 na Mokotowie, niedaleko ulicy Nabiela, został otwarty skwer nazwany imieniem Brzeskiej. Znajduje się tam również kamień pamiątkowy. Ku jej pamięci powstał utwór PabloPavo *To jest piosenka o różnych rzeczach* oraz piosenka duetu KopytKowalski *Kto zabił Jolantę Brzeską*. Niedawno ogłoszono także, że powstaje film pt. *Lokatorka* inspirowany między innymi historią Jolanty Brzeskiej. Film w reżyserii Michała Ołłowskiego ma się pojawić jeszcz w tym roku. W produkcji wystąpią między innymi Kamil Nożyński i Jan Frycz (duet znany ze *Słepiąc od Świata*) – co zapewne spowoduje dużą popularność filmu. Miejmy zatem nadzieję, że przedstawi on historię dzikiej reprewatyzacji i walk lokatorów w rzetelny sposób, a nie będzie tylko typowym filmem sensacyjnym.

Niestety po dziesięciu latach nikt nie został skazany, nie doszło nawet do procesu. Marek Mossakowski i Hubert Massalski są dalej na wolności. Smutne, jest też to, że mimo działań Warszawskiego Stowarzyszenia Lokatorów, wielu polityków stoi po stronie mafii reprewatyzacyjnej. Warto zwrócić uwagę, że Rafał Trzaskowski, zaskarzył niedawno do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego unieważnienie decyzji reprewatyzacyjnej i nakaz oddania przez Mossakowskiego niesprzedanych mieszkań oraz pieniędzy. Przez to Sąd Wojewódzki wydał wyrok, na mocy którego Mossakowski może wszystko zachować. Media w tej sprawie praktycznie milczą. Dlatego tak ważne jest podtrzymywanie pamięci o Jolancie Brzeskiej, która niewątpliwie jest bohaterką.

1 marca pod Ministerstwem Sprawiedliwości odbyła się demonstracja w sprawie wznowienia śledztwa. Został wysłany także wniosek do Sejmu RP. W Warszawie można od kilku dni zobaczyć plakaty z portretem bohaterki. Ważne jest też opowiadanie jej historii. Jak najczęściej i jak najwięcej. Świetnie zrobił to Janek Śpiewak – działacz społeczny, który obecnie walczy z reprewatyzacją. Opublikował on film na swoim kanale na YouTube, który opowiada historię Jolanty Brzeskiej. Ten film bardzo mi pomógł w pisaniu tego artykułu i zaczerpnąłem z niego część informacji. Jest warty uwagi także dlatego, że zawiera materiały telewizyjne i fragmenty reportaży z czasów morderstwa Brzeskiej.

PAMIĘTAJMY O JOLANCIE BRZESKIEJ I OPowiADAJMY JEJ HISTORIĘ – MUSt DOTRZEĆ DO JAK NAJWIĘKSZEJ LICZBY OSÓB. TYLKO WTEDY JESTEŚMY W STANIE ZMIENIĆ COŚ W SYSTEMIE, KTÓRY KRZYWDZI BEZBRONNYCH LUDZI NA RZECZ BOGACENIA SIĘ JUŻ BOGATYCH. TEN SYSTEM MUSt SIĘ ZMIENIĆ.

W KTÓRYMŚ MOMENCIE OKAŻAŁO SIĘ, ŻE PRACUJĘ NA WOJNIE...

- ROZMOWA PIOTRA JURCZYŃSKIEGO Z REPORTEREM WOJENNYM
PAWEŁM PIENIĄŻKIEM

**JEST PAN REPORTEREM WOJENNYM, TAKŻE PISARZEM, WYDAŁ
PAN PRZECIĘŻ JUŻ 3 KSIĄŻKI: POZDROWIENIA Z NOWOROSJI,
WOJNĘ, KTÓRA NAS ZMIENIŁA I PO KALIFACIE. NOWA WOJNA W
SYRII. TA OSTATNIA ZOSTAŁA NAGRODZONA NOMINACJĄ DLA
NAJLEPSZEJ KSIĄŻKI REPORTERSKIEJ 2020 ROKU. OCZYWIŚCIE
WIĘKSZOŚĆ OSÓB ZDAJE SOBIE SPRAWĘ, ŻE GŁÓWNYM
ZADANIEM REPORTERA WOJENNEGO JEST RELACJONOWANIE
TEGO, CO SIĘ DZIEJE W OBSZARACH OBJĘTYCH KONFLIKTAMI
ZBROJNYMI, ALE TAK Z SUBIEKTYWNEJ PERSPEKTYWY: CZYM
TAK NAPRAWDĘ ZAJMUJE SIĘ WEDŁUG PANA KORESPONDENT
WOJENNY?**

To jest trudne pytanie, bo ja też nigdy sam nie określам się korespondentem wojennym. Wojciech Jagielski, jeden z najbardziej znanych reportażystów wojennych w Polsce, często mówił, że prawdziwy korespondent wojenny to jest ktoś, kto zna się na militariach, zna i rozumie taktyki wojskowe, jest bardzo osadzony w wojskowości. Ja nie jestem. Nie jestem specjalistą od militariów, bo mnie to nigdy nie interesowało i wciąż mnie nie interesuje. Znam to na poziomie, jaki jest wymagany do mojej pracy. Jeśli miałbym powiedzieć, na czym się konkretnie skupiam i co jest dla mnie najważniejsze, to byłby tym kondycja ludzka, mówiąc tak bardziej patetycznie. W trakcie konfliktów zbrojnych bardzo często widać w człowieku wiele rzeczy, których nie widzimy na co dzień. Nasze codzienne maski, które wiążą się z całymi naleciałościami kulturowymi, codziennymi drobnostkami, trochę dualnym życiem w świecie online/offline, to wszystko tam znika. W strefach konfliktów ludzie starają się funkcjonować w bardzo trudnych warunkach do życia. Dokonują różnych wyborów, które nam, czyli ludziom, którzy żyją w czasach pokoju, trudno jest zrozumieć, bo nie stajemy przed takimi wyborami. Wraz z upływającymi latami się o tym zapomina i pamięć zanika, więc staram się opowiadać losy człowieka, historię tego najsłabszego na wojnie, czyli ludności cywilnej. Znacznie mniej mnie interesują, choć często się pojawiają, sami żołnierze, bojownicy czy uzbrojeni ludzie w ogóle. Najciekawsze i najważniejsze w tym wszystkim, według mnie, jest opisywanie losów cywila, bo to zawsze ludność cywilna zastaje wojnę w domu, to do nich przychodzą walki, oni są tym zaskoczeni i to oni tracą wszystko lub bardzo wiele. Jeżeli dziennikarz może bardzo łatwo przyjechać i wyjechać, tak samo wysyłany w teren żołnierz, to cywil tam po prostu jest. To on musi się zmierzyć z wojną, musi myśleć jak wywieź swoją rodzinę, jak wywieź siebie, co robić, jaką decyzję podjąć? Czy właśnie walczyć i bronić swojego domu czy wyjechać? Jeśli tak to dlaczego? Jeśli zostać, to czemu? Zawsze staram się ukazać te dylematy, które stoją przed ludźmi, jest ich bardzo wiele i zawsze jest to bardzo trudne. Tych ludzi tworzą warunki, w jakich się znajdują. To nie jest tak, że ktoś urodził się bohaterem. Bohaterem – to znaczy będzie ratował ludzi z opresji, pomoże sąsiadowi. To się po prostu dzieje, często przez przypadek, więc wszystkie takie rzeczy staram się na wojnie opisywać i zwracać na nie uwagę i też po prostu przypomnieć ludziom, co to znaczy żyć w miejscu objętym konfliktem zbrojnym. Niby powstają książki, reportaże historyczne, fikcja literacka, ale bardzo mało jest świeżych relacji. Opowieści o konfliktach zbrojnych stają się po prostu statystykami, suchymi newssami, jakimiś tam depeszami, z których niewiele wynika. W momencie, kiedy czytasz tylko informacje: kto co zajął, kto co zrobił, kto zginął, co wybuchło, trudno się utożsamić z człowiekiem, dajmy na to w Afganistanie, Syrii, ale nawet na Ukrainie, który jest tuż obok. W tym nie widać człowieka. Dlatego ja próbuję go zawsze dostrzegać.

**MÓWIŁ PAN, ŻE STARA SIĘ OPISAĆ ŻYCIE LUDNOŚCI W
OBSZARACH OBJĘTYCH KONFLIKTAMI ZBROJNYMI, ALE ŻEBY
NAPISAĆ TAKĄ KSIĄŻKĘ, POTRZEBUJE PAN INFORMACJI. W JAKI
SPOSÓB POZYSKUJE PAN INFORMACJE NA MIEJSCE?**

Zależy od miejsca pracy. Znam kilka języków, czasami korzystam z tłumaczy, a czasem to nie jest potrzebne. Właśnie to jest problem wizualnego przedstawienia wojny, głównie w telewizji. Tam materiał filmowy jest bardzo skondensowany i wojna wygląda znacznie gorzej niż w rzeczywistości. Większość czasu na wojnie to czekanie, niepewność, ale to nie jest tak, że cały czas jest się w jakimś niebezpieczeństwie. Dlatego jest sporo czasu, by te informacje pozyskiwać. Często na miejscu działają jakieś struktury, które dysponują dodatkowymi danymi i pozwalającymi spojrzeć na sprawę z szerszego punktu widzenia. Też są różne organizacje np. ONZ, który publikuje regularnie dane. Książkę też pisze się zazwyczaj po pewnym czasie od wydarzeń, więc jest dużo więcej czasu na to, by dodatkowe informacje pobierać. Dane ze stref konfliktu nigdy nie są pewne, bo często trudno je ustalić, jak choćby liczbę ofiar czy tych, którzy musieli opuścić swoje domy. One są mniej lub bardziej przybliżone, bo bardzo trudno to ustalić. Generalnie trzeba pamiętać, że praca w obszarze konfliktu, to nie jest tylko bieganie, uciekanie i chowanie się jak w filmie wojennym. Jest to często nudna praca, żmudna. Nic się nie dzieje i wszyscy czekają na rozwój wydarzeń.

**JAK PAN MÓWIŁ, CZĘSTO NIE WIADOMO, ILE OSÓB ZGINĘŁO,
HISTORIA JEST USIANA TAKIMI TAJEMNICAMI I CZĘSTO NIE
ZNAMY SZCZEGÓŁÓW.**



FOT: PAWEŁ PIENIĄŻEK

To prawda. Dobrym przykładem jest epidemia grypy hiszpanki w latach 1918–1920. Dane na temat liczby ofiar są bardzo różne i do tej pory wahają się od 50 do 100 milionów osób, które zmarły. To nadal jest różnica 50 milionów, które trzeba ustalić.

**CZY Z DOŚWIADCZENIA ROZMOWY Z LUDŻMI OBJĘTYMI
KONFLIKTAMI ZBROJNYMI, MYŚLI PAN, ŻE MOŻNA
PRYZWYCZAĆ SIĘ DO WOJNY?**

Na pewno nie można przyzwyczać się stuprocentowo, by traktować ją jako coś normalnego. Człowiek się adaptuje do każdych warunków. Czytając relacje z bośniackiego Sarejwa, gdzie trwało długie oblężenie, widać, jak ludzie przystosowali się do tych warunków. W Afganistanie, w którym konflikt trwa już od czterech dekad, nauczyli się funkcjonować w tych okolicznościach. Na pewno nie są z tego zadowoleni, tylko po prostu człowiek ma taką zdolność, by radzić sobie nawet w najgorszych warunkach. To adaptacja, instynkt przetrwania. Często przywołuję scenę z wojny z Ukrainą, bo określiła w pewnym stopniu mój sposób myślenia o konfliktach zbrojnych: w 2015 roku jedna z dzielnic Doniecka była ostrzelana przez szesnaście godzin. Wtedy cały czas siedzieli w piwnicach. To znaczy mieszkańców mieli osiem godziny względnego spokoju. Wówczas wychodzili na powierzchnię i mogli przygotować się na kolejne ostrzały. Co robili? Kilka kobiet na przykład sprzątały podwórka z gruzów, powybijanych szyb i połamanych drzew. Robili to, choć zaraz kolejny ostrzał miał narobić bałaganu. Jacyś mężczyźni przybijali płyty pilśniowe do okien sklepów, bo powybijało okna. Ktoś na chwilę rozstał się z żoną, żeby coś tam sprzedawać. Patrząc na to wszystko z boku, można stwierdzić, że nie ma to najmniejszego sensu. Jednak ma przeogromny. Chodzi o to, by pokazać, że życie wciąż trwa. Ci ludzie przeciwstawiają się okolicznościom, by zostało jakaś namiastka ich przedwojennej codzienności. W Górkim Karabachu jeden mężczyzna opowiadał mi, jak codziennie rano jeździł karmić kury i podlewać ogród, bo to było dla niego ważne. Chciał pokazać, że to życie wciąż trwa. Ktoś chciał wyjść na ulicę, by popatrzeć, czy ona nadal istnieje. Ktoś prowadził knajpę, chociaż wszystko inne się pozamykało, bo chciał mieć poczucie, że życie nie wymknęło mu się z rąk. To jest walka o przeszłość.

**PODCZAS WOJNY LUDNOŚĆ CYWILNA SAMA WALCZY O TĘ
NORMALIZACJĘ ŻYCIA. CZY ZDARZYŁO SIĘ PANU WYJŚĆ Z ROLI
REPORTERA WOJENNEGO I NA PRZYKŁAD ZACZĄĆ POMAGAĆ
LUDNOŚCI PRZEZ DAWANIE JEDZENIA ALBO CHOCIAZBY POMOC
W NAPRAWIANIU DACHU?**

Co do zasady – nie. Tu znowu muszę przytoczyć Wojciecha Jagielskiego, który mówił, że jak już raz się zacznie, to się z tego nie wyjdzie. Trzymam się tego, że jestem dziennikarzem i zajmuję się pracą dziennikarską. Oczywiście, jeśli ktoś potrzebuje pomocy, na przykład jest ranny, to albo się udziela pomocy, albo się go odwozi w miejsce, gdzie jest bezpieczny. To nie jest tak, że pozostaje się obojętnym. Dajmy na to, że pomagam starszej pani. Mogę jej pomóc, bo to nie jest rzecz, która zagraża życiu. Z reperowaniem dachu to inna sprawa, bo nie wiem, czy byłbym tam dobrym pomocnikiem. Jakbym mieszkał u ludzi, o których bym pisał, to jasne, że bym pomógł. Jeżeli byłbym żołnierzem, to bym im nie pomógł, dlatego, że to już jest angażowanie się w konflikt, ale jeżeli byłbym to zagrożenie życia, to żołnierzowi też bym pomógł, dlatego że jeśli można uratować czyjeś życie, powinno się zawsze je ratować niezależnie od tego, kto to jest. Jednak takich sytuacji nie miałem. Jak mówię, co do zasady, przyjmuję sobie bardzo sztywne ramy, że nie pomagam, no chyba że są to jakieś drobne rzeczy, które robimy w codziennym życiu jak przepuszczenie przez drzwi albo przeprowadzenie babci na pasach. W pracy człowiek nie przestaje być człowiekiem. Coś takiego nie przeszkadza mojej roli dziennikarza.

**PRZYTOCZYŁ PAN SŁOWA REPORTERA WOJENNEGO WOJCIECHA
JAGIELSKIEGO, ŻE JAK JUŻ RAZ SIĘ W TO WEJDZIE, NIE MOŻNA
WYJŚĆ, PRZEZ CO ZASTANAWIAM SIĘ, NA JAK GŁĘBOKĄ
RELACJĘ, STOSUNEK EMOCJONALNY DO DANEGO MIEJSCA, W
KTÓRYM SIĘ ZNAJDUJE, MOŻE SOBIE POZWOLIĆ REPORTER
WOJENNY? OCZYWIŚCIE MOŻNA PODAWAĆ SUCHE FAKTY, ALE
ABY ODWZOROWAĆ CAŁĄ ATMOSFERĘ, UCZUCIA LUDZI, TRZEBIA
SIĘ WCZUĆ SIĘ W ICH SYTUACJĘ I ICH ZROZUMIEĆ.**

Kiedy pracowałem w Syrii, rozmawiałem z ludźmi, którzy popierali państwo islamskie albo inne grupy na świecie i mieli poglądy, z którymi się całkowicie nie zgadzam, ale to nie znaczy, że nie próbowałem tych poglądów zrozumieć. Nie przejawiałem jednak szczególnej empatii, bo to, co jest najciekawsze w pracy dziennikarza, to nie jest to, co ja mam do powiedzenia, tylko to, co mówi dana osoba. Jeżeli gdzieś jadę, to przede wszystkim chcę porozmawiać z ludźmi na miejscu i przekazać to, co oni mają do powiedzenia, więc nie ma znaczenia, co o tym myślę prywatnie. Jeżeli ktoś mówi nieprawdę, taką zupełną, to mogę to skontrować w tekście słowami, bo wiem że ta rzecz jest nieprawdziwa. Jeżeli ktoś odbiera coś, czuje coś w inny sposób niż ja, to moim obowiązkiem jako dziennikarza jest opowiedzenie tego, bo ludzie chcą się dowiedzieć tego, co myślą inni ludzie. Też czasem wplatam moją osobę w książkach. Jako dziennikarz nie jestem cieniem, choć uważam, że moja obecność zaburza historię. Nie jest tak, że nikt mnie nie widzi. Ja tam jestem, rozmawiam z tymi ludźmi, też zdarza się tak, że ktoś się inaczej zachowuje, kiedy ze mną rozmawia, ponieważ mnie nie zna. Nie wiem, czy gdybym nie był dziennikarzem, zachowywałby się inaczej, rozmawiając ze mną.

**WIADOMO CO REPORTER WOJENNY ROBI W TERENIE I W ZASADZIE
TO PRZYKUWA NAJWIĘCEJ UWAGI, ALE NIE MOŻE PAN PRZECIEŻ
CIĄGLE PRZEBYWAĆ NA WYJAZDACH. CO ROBI PAN MIĘDZY
WYJAZDAMI, BĘDĄC W POLSCE?**

To jest bardzo fajne pytanie, chyba nikt mi go w życiu nie zadał. Co robię między wyjazdami? Pracuję, dużo czytam, przygotowuję się do wyjazdów. Teraz mam taki moment przedwyjazdowy. Wyjeżdżam za kilkanaście dni, a z ostatniej podróży wróciłem pod koniec listopada, więc miałem ponad 2 miesiące przerwy. Przerwy od wyjazdu, ale nie wolnego. Wciąż spisuję rozmowy z Karabachu, które będę wykorzystywał w książce, nad którą pracuję. Musiałem zebrać materiały i właśnie bardzo dużo czytam przy tej okazji. Piszę też kilka artykułów w tym miesiącu. One też są rzecząmi zza biurka. Dzięki temu, że nie jestem na wyjeździe, mogę pisać wywiady, jakieś krótsze teksty. Przez to mój wyjazd się przedłuża, bo ciągle coś robię, mimo że jestem w Warszawie. Zazwyczaj mam tak, że pod koniec roku mam czas, by złapać chwilę oddechu, ale przez cały rok, jak to było w ostatnich dwóch latach, nie ma za bardzo na to czasu. To nie jest tak, że po powrocie do domu, wyjazd się kończy.

**KIEDY PISZE PAN ARTYKUŁY DLA DANEJ REDAKCJI TO SĄ RZECZY, O
KTÓRYCH NIE MOŻE PAN PISAĆ, KTÓRYCH NIE MOŻE PAN
FOTOGRAFOWAĆ?**

Często pracując z różnymi grupami zbrojnymi, czy to jest regularne wojsko, czy to są jakieś bojówki. Robiąc zdjęcia, staram się nie narażać tych ludzi na niebezpieczeństwo. Dlatego staram się unikać kadrów, poprzez które można byłoby np. określić dokładną lokację. Jak w każdym miejscu na świecie, są miejsca strategiczne, których nie można fotografować, jak powiedzmy Ministerstwo Obrony. Bywa też tak, że o niektórych wydarzeniach mogę napisać dopiero po pewnym czasie.

**SPYTAŁEM SIĘ PANA O TO, PONIEWAŻ MÓWI SIĘ O TYM, ŻE KIEDY
BYŁA EPIDEMIA EBOLI W AFRYCE ŚRODKOWEJ, DZIENNIKARZE,
KTÓRZY PRZYJEŹDZALI NA TE OBSZARY, ROBILI ZDJĘCIA OSÓB
CHORYCH, KTÓRYCH NAWET NIE PYTAŁI SIĘ O ZEZWOLENIE, A W
PRZYPADKU KORONAWIRUSA WE WŁOSZECH, WSZYSTKO BYŁO
ZGODNE Z ETYKĄ DZIENNIKARSKĄ.**

No tak, takie podwójne standardy. Pod tym względem staram się zawsze pytać ludzi o zdanie. Na przykład kiedy robię zdjęcie na pogrzebie, co zdarzyło się w Karabachu, pytam czy mogę robić zdjęcia i też zdjęcia twarzy. Wysłałem wtedy do redakcji warianty z twarzą i bez twarzy i wtedy jest to już decyzja redakcji. Trudniej jest w miejscowościach, kiedy nie można zapytać o zgodę. Na przykład kiedy jest wieziony do szpitala ranny żołnierz. No trudno go zapytać, czy mogę robić zdjęcia, czy nie mogę. Jeśli nie ma wyraźnego zakazu, to w takich sytuacjach zdjęcie się robi. Ogólnie warto się zastanowić, czy coś podobnego mógłbyś zrobić we własnym domu albo czy chciałbyś, by ktoś zrobił coś podobnego tobie. Myślę, że jest to dobra zasada, którą powinno się kierować.

**A W PRZYPADKU PANA, JAK TO SIĘ STAŁO, ŻE STAŁ SIĘ PAN
REPORTEREM WOJENNYM? PRZECIEŻ KIEDY SIĘ MYŚLI O SWOJEJ
PRZYSZŁEJ PRACY, JEST TO PRACA RACZEJ BEZPIECZNA.**

Jak większość ważnych rzeczy w moim życiu, wydarzyło się to przez przypadek. Nigdy nie chciałem relacjonować wojen, nigdy mnie to nie interesowało. Znalazłem się przez przypadek na wojnie, czyli we Wschodniej Ukrainie w Słowiańsku. Kiedy przyjechałem tam w kwietniu, to jeszcze nie była wojna, trudno powiedzieć, co to było. Nikt tego jeszcze nie postrzegał jako wojny i nikt tego tak nie nazywał. Ja tam przyjechałem i zacząłem po prostu pracować i w którymś momencie okazało się że pracuję na wojnie. Nie byłem do tego przygotowany, ani nie wiedziałem, jak to działa, więc wszystkiego uczyłem się na bieżąco. Dopiero z czasem zrozumiałem, że potrafię się do tego wszystkiego dobrze zdystansować.

Oczywiście musiałem się jeszcze dużo nauczyć i wciąż się uczę. Też dorastałem w tym wszystkim i uczyłem się jak to wygląda, bo w Polsce nie ma powszechnego doświadczenia pracy dziennikarzy podczas konfliktów, więc nie ma się od kogo uczyć. Takich korespondentów wojennych jest niewielu. Jednym nich, jak już wcześniej mówiłem, jest Wojciech Jagielski, który przez długie lata wyjeżdżał w teren, ale już od dłuższego czasu nie jeździ, więc w Polsce tak naprawdę nie ma się od kogo uczyć. Pozostało mi uczenie się przez własne doświadczenie, przez doświadczenie, którym dzielili się moi koledzy i koleżanki z innych krajów, osoby, z którymi pracowałem. Generalnie dla mnie to było coś niespodziewanego. Gdyby ktoś mi powiedział przed 2014 rokiem, że będę relacjonował konflikty zbrojne, to bym nie uwierzył.

**CZY ZAUWAŻYŁ PAN W SOBIE JAKIEŚ ZMIANY PO PIERWSZYCH
WYJAZDACH?**

Nie, nic szczególnego. Początkowo czułem się trochę nieswojo z tym wszystkim, ale z czasem się do tego przyzwyczaiłem.

**CZYLI NIE BYŁO MOMENTÓW, ŻE PAN NIE WYTRZYMYWAŁ
PSYCHICZNIE ALBO PYTAŁ SAMEGO SIEBIE: CO JA TUTAJ
ROBIĘ?**

Nie no, pytać się „co ja tutaj robię”, to chyba każdy zadaje sobie to pytanie niezależnie od miejsca gdzie się znajduje i myślę, że to jest dobre pytanie (śmiech). Często się siebie o to pytam. Nie było jednak przypadku, że nie byłem w stanie znieść otaczającej mnie rzeczywistości, choć bywało, że znajdowałem się w trudnych okolicznościach.

**NIE MA WĄTPLIWOŚCI, ŻE TAKIE STRONY PRACY DZIENNIKARZA
WOJENNEGO NIE ZACHĘCAJĄ DO ZAWODU. CO WIĘC PANA TRZYMA
PRZY PRACY REPORTERA WOJENNEGO? NIE CHCIAŁ PAN
PRZEMIANOWAĆ SIĘ NA DZIENNIKARZA RELACJONUJĄCEGO
WYDARZENIA W POLSCE?**

Po pierwsze, średnio się interesuję wydarzeniami w Polsce i trudno mi się przekonać, żeby się tym zajmować. Po drugie, dziennikarzy zajmującymi się Polską jest naprawdę wielu, więc nie wiem, co miałbym wnieść nowego. Co mną kierowało? Pewnie jak większością dziennikarzy, kierowała mną zwykła ciekawość. Z czasem zauważałem pewne podobieństwa między konfliktami zbrojnymi i to doświadczenie pozwala mi budować szerszy kontekst. Lubię tę pracę i nie chciałbym jej zmieniać, ale też nie jest tak, że piszę tylko o wojnach.

**NO TAK, PRZECIEŻ PISZE PAN ARTYKUŁY CHOCIAŻBY
O WYBORACH NA UKRAINIE.**

Dokładnie. To bardzo bawiło wszystkich w Karabachu, bo tuż przed wyjazdem pisałem o koncertach w grach komputerowych jak Minecraft i Fortnite, więc są to bardzo różne rzeczy. Zazwyczaj piszę o jakichś problemach społecznych. Często są osadzone w miejscowościach, gdzie dzieją się konflikty zbrojne, ale niekoniecznie dotyczą one samych konfliktów. Pracując w Afganistanie, zajmuję się głównie problemami społecznymi, mniej wojennymi. Wszystko zależy od miejsca, bo podczas bardzo aktywnej wojny, jak to było teraz w Karabachu, no jasne, że większość pracy była kręciła się wokół konfliktu zbrojnego. Można opowiadać o miejscowościach, gdzie jest wojna, ale też o miejscowościach, gdzie wojna jest tylko tłem, które powoduje inne problemy.

**ZGADUJĘ, ŻE ZNA PAN INNYCH REPORTERÓW WOJENNYCH
W NASZYM KRAJU, BO JEDNAK TA SPOŁECZNOŚĆ REPORTERÓW
WOJENNYCH JEST DOŚĆ MAŁA. ZAUWAŻYŁ PAN, CZY
REPORTERZY WOJENNI MAJĄ JAKIEŚ PROBLEMY SPOŁECZNE
NA PRZYKŁAD NA IMPREZIE ALBO NA JAKIM SPOTKANIU?
LUDZIE ROZMAWIAJĄ O PRACY, O TYM, CO ROBIĄ NA CO DZIEN.
I NAGLE PAN MÓWI, ŻE PRZYJĘCHAŁ Z WOJNY I CAŁY NASTRÓJ
ZOSTAJE ZRUJNOWANY?**

(Długa przerwa na śmiech).

Nie, zupełnie nie. Ludzie oczywiście są różni, bo zawsze znajdziesz się jeden, co będzie mówić tylko o sobie. Niezależnie od tego, czy mam coś do powiedzenia, czy nie. Ja raczej tak mam, że średnio chce mi się opowiadać o sobie, więc jak ktoś mnie nie zapyta, to nie będę ciągnął wątku. Męczę mnie opowiadanie tych samych historii, bo jest to nudne, ale niektórzy to lubią. Powiedziałbym, że rzadko chodzę na imprezy, bo średnio je lubię, ale jak już jestem to nie sprawiam problemu.

NIE PSUJE PAN KLIMATU (ŚMIECH).

(śmiech) Mam nadzieję, że nie...

PIOTR JURCZYŃSKI

Było ŚMIESZNIE i jest nadal ŚMIESZNIE

(komentarz z przymrużeniem obu oczu, czyli z czego można się śmiać w 2021 roku)

Tak to widzę...

GDZIEŚ MIĘDZY 5 A 6 KRĘGIEM PIEKIELNYM

Wielka narada. Sala z czarnego marmuru wypełniona jeszcze czarniejszymi ławkami, a z każdej wyrastały zakapturzone diabły. Na podeście przed nimi górował obsydianowy tron władcę tego oto opisywanego przytułku dla chorych skrywionych przez zło. Wszystkie rogi skierowane były w stronę Lucyfera.

– *Suchajcie! Za minutę wybije rok 2021, a co za tym idzie – 2021 nowych katastrof. Słucham pomysłów.*

Z pierwszego rzędu wychylił się cherlawy diabełek i piskliwym głosem niczym pazury po tablicy mówił:

– *Może by tak... III wojnę światową rozpoczęć, co? – od razu został uciszony przez umięśnionego diabła z tylnego rzędu. – Nie, nie, chyba oni nie są jeszcze na to gotowi. Pamiętacie, co się stało w 2020 roku? Zleciłem Judaszowi zabicie tego irańskiego generała i nawet to nie sprawiło, by te szczury rzucili się sobie do gardła. Jakieś inne pomysły?*

– *Zaraza!*

– *Było.*

– *Spalić cały kontynent!*

– *Też było.*

Lucyfer, coraz bardziej zniecierpliwiony, rysował ostrymi paznokciami swastyki na ramionach tronu.

– *Zamach stanu!*

– *O to, to! Kto to powiedział? – zajaśniały czarne ślebia najwyższe z diabłów. Z szeregu wyszedł facet w średnim wieku w śnieżnobiałej peruce i z bokobrodami. – Jefferson, Thomas Jefferson, mój panie. – uklęknął przed tronem.*

– *A, Jefferson, mój chłopcze! Interesujący pomysł. Na czym będzie polegał ten twój zamach stanu? – Jefferson wstał i wygładził żakiet.*

– *Będzie oparty na czystej nienawiści, mój panie. Przysykujemy zacne przedstawienie...*

atak na kapitol, czyli święta rekonstrukcja historyczna

(Oni serio wzięli to na poważnie!)

Uwielbiam historię! Przez to zawsze chciałem uczestniczyć w jakiejś rekonstrukcji historycznej. Szkoda, że akurat nie było mnie w Waszyngtonie 6 stycznia 2021 roku, bo w takiej rekonstrukcji wziąłbym udział na pewno! Był to zamach stanu. Fabuła przedstawienia wyglądała tak: koło Białego Domu zebrały się tysiące zwolenników ówczesnego (jak wierzyli) prezydenta Stanów Zjednoczonych Donalda Trumpa, by wysłuchać orędzia swojego wodza. Podczas przemowy emocje miotały każdym z zebranych. Ich skóra zaczęła zmieniać kolor na pomarańczowy, aby upodobnić się do swojego przywódcy (transformacja zakończyła się sukcesem albowiem biały łączy się z każdym kolorem). Okrzyki i pełna patosu gestykulacja idealnie nawiązywały do lat 30. XX wieku. Pod koniec został wydany rozkaz marszu na budynek parlamentu amerykańskiego – na Kapitol. Tu akcja robi się znacznie ciekawsza! Tłum pomarańcz przystąpił do oblężenia budynku. Twierdzi broniło zbyt mało osób, więc słabe punkty (okna) zostały szybko sforsowane i owoce wturlały się do środka. Między nimi można było zauważać przedstawicieli różnych plemion indiańskich czy gatunków orłów. Panowie przygotowali się na Halloween! Co jakiś czas na ściany wspinały się szwadrony ubranych w skórę neandertalczyków, a za nimi sunęła piechota uzbrojona w najróżniejsze flagi.

Jest chaos. Ewentualnie nikt nie panuje nad wojskiem. Dowódcy nawet nie ma na polu bitwy. Powoli pełny patosu zamach stanu, zamienia się w wielką akcję rabunkową. Poszczególni protestujący wynoszą zdobycze wojenne: mównice, różne dokumenty z pieczęcią „ściśle tajne”. Niektórzy nawet zaznaczają swój teren poprzez uwiecznianie ich razem ze sobą na selfie. Jeden już zaczął okupować fotel wiceprezydenta, a inni bawili się w obradujących członków parlamentu. Za chaosem idzie zezwierzęcenie. To wszystko przypomina scenę z Planety małp – małpy razem silne. Za zezwierzęczeniem idzie przemoc. Niektórzy zbyt wczeleli się w swoje role samców alfa i zaczęli pokazywać własną dominację w stadzie. W wyniku rękojrzynów w akompaniamencie prochu strzelniczego, zginęło łącznie 5 osób, a 200 zostało rannych. Jedni zostali odwiezieni do weterynarza, a inni do szpitali (Tobie, czytelniku, zostaje wybrać: kto gdzie trafił). W końcu wódz Trump zauważył, że cała rekonstrukcja poszła o krok za daleko i aby ratować sytuację (znaczy siebie) zaapelował do zwolenników o opuszczenie Kapitolu. Niedługo później nadciągnęło wojsko, które wykurzyło ostatki fauny z obszaru parlamentu.

Wynikiem oto opisanej insurekcji jest (na ironię) polityczna śmierć Donalda Trumpa, setki poszkodowanych oraz dawka szoku dla całego świata. Dla mnie zaś święta rekonstrukcja, w którą wszyscy uwierzyli. Ameryko, ostojo – demokracji!

SALA KINOWA GDZIEŚ MIĘDZY 4 A 5 KRĘGIEM PIEKIELNYM

Szeregi foteli z ciemnej skóry. Wszechogarniąca ciemność odganiana od ścian pochodniami. W środkowym rzędzie dwa zajęte miejsca. Trwa seans. Między odgłosami dziennika informacyjnego, słyszać potężne wybuchy śmiechu.

– *Nieźle żeś to wymyślił Jeffersonie! Ta nienawiść idealnie pasuje do błaznow w kostiumach! – Lucyfer nie mógł poskromić napadów śmiechu, podobnie co Jefferson, ocierający oczy z łez aksamitną chusteczką.*

– *To nie wszystko – powiedział, aż mu oczy poczerniały. – Przedstawienie nadal trwa.*

Szybko zmieniono szpulę, a zamiast CNN pojawiły się europejskie stacje telewizyjne. Szatan chciał coś odpowiedzieć, lecz przegrał z kolejną falą śmiechu.

— *Ten akt jest o władzy, mój panie.*

PUCZ W RYTMIE DISCO

Hitler, Stalin, Piłsudzki czy Mao Zedong mieli jedną wspólną cechę. Potrzebowali władzy. Władzę tę każdy z nich chciał posiąć w ten sam sposób – siłą. Pucz wojskowy był tanią zagrywką, która się zawsze sprawdzała i sprawdza się nadal. Dobra, ale co się działo, kiedy zdobyli już władzę? Protest miłośników demokracji (klasyk). Każdy chce mieć prawo głosu. Co się dzieje, kiedy lud chce mieć prawo głosu? Każdy obywatel (szczególnie ten polityczny) dostaje po jednym kalejdoskopie represji na głowę. Tego wezmą na dolek, temu zafundują wycieczkę do obozu pracy, a innemu jeszcze zniknie pies (potrzeba kulinarnego samodoskonalenia). Czy to wszystko należy do przeszłości? Skądź! Proszę, już podaję przykład, za mną czytelniku.

Jest pewien azjatycki kraj na Półwyspie Indochińskim. Państwo to przez większość swojej historii walczyło o swą wolność, którą w końcu zdobyło po II wojnie światowej, kiedy Imperium Brytyjskie przemieniło się w Wielką Brytanię. Miało to być państwo demokratyczne, lecz po dość krótkim czasie władzę w kraju przejęło wojsko. Mówiąc w skrócie – od tamtego czasu trwa nowa walka, by zdobyć demokrację. Momentem przełomowym były wybory w 2015 roku, kiedy wygrała partia Narodowej Ligi Na Rzecz Demokracji z wynikiem ponad 80%. Oczywiście armia nie uznala wyborów, czego skutkiem są dzisiejsze wydarzenia.

1 lutego 2021 roku w Birmie (istnieją też sympatycy nazwy Mjanma) nastąpił pucz wojskowy. Pierwszymi świadkami zamachu na demokrację byli uczestnicy transmisji fitness. Kiedy trenerka wyginała śmiało ciało w rytm muzyki disco, w tle opancerzone pojazdy zmierzały do gmachu parlamentu. Przypominało to raczej teledysk z Ewą Chodakowską w roli głównej niż pucz wojskowy. Film ten jest drugim zdjęciem Masakry na Placu Tianammen. Internet oszalał! Memy z panią fitness zalały wszystkie *social media*. Dwoiły się i troiły niczym bakterie (musiałem). Armia birmańska tak się przeraziła, że zablokowała Internet w całym kraju. Ludzie wyszli na ulicę. Oddawać nasze memy! Morze transparentów wylało się na wszystkie ulice kraju. Wojsko, aby załagodzić sytuację, zaczęło pokazywać ludziom swoje własne memy i narzucać im swoje poczucie humoru. Tego Birmańczycy nie wytrzymali. Morze zaczęło płakać. Nikt nie chciał się z tego śmiać! Gdzie słodkie kotki, gdzie memy o tańczącym Trumpie i szerokim Putinie? Doszło do rękojrzów. Armatki wodne, gazy bojowe i pały weszły w codzienną rutynę ulicznego życia. Historia dzieje się na naszych oczach. Brutalne władze odkryły słaby punkt ludzkości, bo przecież ludzkość bez memów, to nie ludzkość. Czy za niedługo będziemy musieli drukować śmieszne obrazki, by następnie chować je jak jakąś kontrabandę? Czy komedia zniknie z tego świata? Epoka nieśmieszności nadciąga...

TAK ZIMNO, ŻE AŻ DEMOKRACJĘ ZAMROZIŁO

Jest takie spore państwo na wschodzie Europy, co lubi psocić. Raz zaanektuje Krym, innym razem aresztuje opozycjonistę, a na ogół chętnie zwalcza wolność słowa. Przez ostatnie kilkanaście lat putinowskich rządów w Rosji, można zauważać tendencje autorytarne. Kiedy szef dyplomacji UE Josep Borrell złożył wizytę w owym pięknym kraju, stwierdził: „Teraz mam jeszcze większe obawy. Rząd Rosji podąża budzącą obawy autorytaną drogą”. Ciężko się nie zgodzić, mając na uwadze aresztowanie opozycjonisty Aleksieja Nawalnego przez władze rosyjskie oraz opublikowanie dokumentu *Pałac Putina* przez BBC, z którego jasno i wyraźnie wynika, że publiczne pieniądze nie idą tylko na budowę dróg i służby bezpieczeństwa. Jak zawsze w powietrzu wisi czerwona gwiazda.

Zatrzymajmy się na sprawie aresztowanego Nawalnego. Właśnie na naszych oczach ukazuje się rekonstrukcja wymierania opozycji. Największy krytyk Putina, głowa hydry, która kasała go bez ustanku w pośladki, właśnie siedzi w kolonii karnej pod Moskwą. Umówmy się: mało oryginalne.

CMENTARZ GDZIEŚ, MIĘDZY 4 A 3 KRĘGIEM PIEKIELNYM

Szarość. Mleczna mgła unosiła się nad nagrobkami. Łyse drzewa schylały się wzduż kamiennej ścieżki, na której dudniły kroki butów i kopyt. Po minięciu 2020 drzew, zatrzymali się nad samotnym, pustym grobem.

- Jeffersonie, mój chłopcze, dzięki tobie rok 2021 będzie o niebo śmieszniejszy od poprzedniego.
- Staram się jak mogę, panie – Jefferson ukłonił się, zdejmując wysoki kapelusz. – Czy tutaj mamy złożyć rok 2021?
- Jak najbardziej. Na jego truchle urośnie najbardziej garbate drzewo. Nawet 2020 i 1939 razem wzięte, nie będą mogły się równać z tym płaczącym konarem... – opowiadał zamyślony, wypuszczając kłęby mgły z obszernych, kozich nozdrzy. – No, mój chłopcze, powiedz mi, jaki będzie ostatni akt?
- Ostatni akt, mój panie – zaczął – jest o iluzji.

DYKTATOR, KTÓRY ZOSTAŁ PREZYDENTEM

Jak dotąd 2021 rok robi się coraz śmieszniejszy. Jest tyle rzeczy, z których można żartować, bo przecież głupota ludzka nie zna granic. Tyle rzeczy już się zdarzyło na samym wstępnie. Można powiedzieć, że to lekki falstart. Banda przebierańców wtargnęła do parlamentu najpotężniejszego (jak na razie) państwa na świecie, w Birmie widzimy azjatycki przewrót majowy i idealny przykład potęgi zwykłej przemocy. Nie zapominajmy o zarazie, która nadal cieszy się i rechocze, nie zważając na masową produkcję strzykawek antywirusowych. Nie dość, że masowo produkowanych to, jeszcze od wielu marek. Nawet w kwestii szczepionki człowiek musi wybierać. Nigdy nie dadzą spokoju! Dajcie pierwszą lepszą, byleby miała igłę. Nic więcej mi nie potrzeba.

Wracając do wydarzeń – Korea Północna. Jak ja teskniłem za tym eksperymentem rodem z *Roku 1984*. Co się tam stało? Nic, nic. Przecież to normalny kraj... od jakiegoś tygodnia z hakiem. Czemu? Anglojęzyczne media Korei Północnej zaczęły nazywać wodza Kim Dzong Una prezydentem. Prosta rzecz, a sprytna. Nawet zaczęli zmieniać nazwy ministerstw! Zamiast ministerstwa ludowych sił zbrojnych, widnieje napis: ministerstwo obrony. Niczym Orwellskie Ministerstwo Pokoju będące w praktyce ministerstwem wojny. Wojna to pokój. Nienawiść to miłość. Kim Dzong Un to prezydent. Tylko jeszcze trzeba pozbyć się tych obozów...

GRÓB (PARAMETRY: 12 MIESIĘCY DŁUGOŚCI NA 30 DNI SZEROKOŚCI)

Częstotliwość ataków śmiechu zaczęła się niespodziewanie zwiększać. Czegoś takiego nie było od World Trade Center! Oczy zaszły krwią, a czarne kopyta coraz mocniej tupały w biedną ziemię, zostawiając po sobie ciemne siniaki. Gęsta sierść uciekała od skóry, tworząc bladé łysiny. Uszy powykręcały się na wszystkie strony świata, a usta wypływały krviste węże. Jefferson powoli oddalił się od epicentrum tej jakże głośnej radości i stanął przy 2018 grobie. Szatan, nie mogąc powstrzymać ataku, zaczął szaleńczo wywijać rogami. Po niespełna kwadransie sekund bezwładne ciało sturlało się do 2021 grobu i uderzyło w skalną glebę. Zapanowała cisza. Jefferson wyjął malutką łopatkę z wełnianej butonierki i zaczął zakopywać.

- Niech ci ta ziemia ciężką będzie – mrucnął. – Nie musisz dziękować.

PIOTR JURCZYŃSKI

Jak gamzają **SYRENIAKI,** czyli GWARA WARSZAWSKA

Kiedy myślimy o gwarze warszawskiej myślimy, że nikt już jej nie używa. Niektórzy mogą nawet nie wiedzieć, że taka gwara istnieje. Prawda jest taka, że gwara warszawska była kiedyś bardzo popularna, a i dziś rdzeni mieszkańcy stolicy z Pragą, Woli czy Powiśla używają charakterystycznej warszawskiej wymowy. Co więcej, słów pochodzących z warszawskiej gwarę używają wszyscy Polacy, bo przez to, że do stolicy przyjeżdżają dziś wszyscy, słowa z gwary weszły do ogólnopolskiego języka.

TYPOWY DZIEŃ W SYRENIM OGRODZIE:

Pewnego razu pod Słupnikiem miał miejsce wielki awantaż. Zaczęło się od blagi. Andrus skorzystał z usług złotowy, a końcowo jak to antek zwymyślał cierpiarza i prysnął, nie płacąc. Widząc to, rycerz bata jak klawy gość pomógł złapać łapserdaka, klejenta złotowy. Zaczęła się bardacha. Fagas z Powiśla wierzał gicami i machał grabiami, aż w końcu grzmotnął cierpiarza w kinol, aż mu bryle spadły i poleciała jucha. Gdy do tej hedy wtranżolił się salceson, wszyscy poczuli mojrę. Wiadomo, że w starym mnieście niealiganczo barłożyć. Każdy widział, że andrus jest na bani, z doliny wystawała mu kolejna angielka pełna czystej akwawity. Chciano, by lachudra dał należne ecie-pecie cierpiarzowi. Ten jednak nie miał przy sobie floty. Chciał ugrać wszystko nawijką, udawał aliganta, ale trefny z niego aktor. Wszyscy wiedzieli więc, że sztamy nie będzie. Taryfiarz chciał ochrzcić antka, ale rycerz bata zawczasu powiedział mu, żeby hamował piętą. Gdy salceson jarał szluga, przyjechał inszy łapserdak. Okazał się doliniarzem i zajumał drobniaki z doliny cierpiarza, po czym dołączyła do niego cała paczka lysych glac. Łapserdaki bez barłożenia prysnęli na Pragę do swoich lafirynd, a wieczorem na chawirze ożenili katolika z angielką...

Tak wygłyądałaby relacja z awantury pod Kolumną Zygmunta, jeśli gwara warszawska byłaby dalej używana. Mało kto jednak jej dziś używa. Gwara syreniaków straciła na znaczeniu i bardzo zmniejszyła się liczba jej użytkowników, ponieważ do Syreniego Grobu zjeżdżają ludzie z całej Polski. W przeszłości jednak gwara warszawska była na ulicach stolicy codziennością, a zapewne dzisiejsze warszawiaki nie dogadałyby się z mieszkańcami Woli czy Pragi jeszcze z lat 50. XX wieku.

JAK POWSTAŁA GWARA WARSZAWSKA?

Gwara warszawska powstała w II połowie XVIII wieku, ale używano jej głównie w XIX i XX wieku. Od początku posługiwali się nią głównie dolne warstwy społeczeństwa, co wydać w słowniku gwary, gdzie najczęściej określeń związanych jest z wódką, awanturami i przestępstwami. Słowa gwary pochodzą przede wszystkiem z zapożyczeń z języka rosyjskiego, niemieckiego i jidysz. W latach międzywojennych najczęściej gwara można było usłyszeć na Woli. Po zniszczeniu miasta podczas powstania warszawskiego głównym ośrodkiem mowy warszawskiej stała się najmniej zniszczona Praga, na której przeżyły rdzeni mieszkańcy miasta.

Podłożem pod gwara warszawską był dialekt mazowiecki, przyniesiony przez migrującą ludność z mazowieckich wsi. Następnie język Warszawy zmieszwał się z językiem mniejszości, które w Warszawie nigdy odgrywały bardzo duży procent ludności. Głównymi zapożyczeniami są słowa z jidysz, rosyjskiego, niemieckiego oraz francuskiego. Gwara warszawska cechują neologizmy leksykalne i frazeologiczne, a także charakterystyczna fonetyka i słowotwórstwo.

ZABAWA SŁOWEM

Dawnym warszawiakom nie można odmówić fantazji w zabawie słowem. Gwara warszawska cechują bowiem także przekręcone wyrazy z języka ogólnopolskiego i języków obcych. Prosty lud z niższych sfer przeinaczał wyrazy trudne do wymówienia lub wymyślał zupełnie nowe wyrazy dla istniejących już rzeczy, często wedle skojarzeń z cechami lub właściwościami danych rzeczy lub osób. W ten sposób na kobietę zaczęto mówić *poduszka*, pieniadze to *flota* lub *ecie-pecie*, twarz to *cyferblat*, wódka to *balsam*, a taksówkarz skojarzył się warszawiakom z *cierpiarzem* i złotową. Przeinaczonymi słowami są na przykład *mundry* zamiast *mądry*, klejent zamiast *klient* oraz *aligancki* zamiast *elegancki*.

Niektóre słowa są jednak typowo warszawskie ze względu na odwołanie do warszawskich symboli i kultury, na przykład warszawiak to *syreniak*, król Zygmunt III Waza na kolumnie to *słupnik*, przyjezdny za pieniądem to *stoik*, a podwarszawski ogrodnik to *badylaż*. W słowniku gwary warszawskiej znaleźć można także wiele określeń z gwary przestępcozej, na przykład *bransoletki* = kajdanki, *salceson* = policjant, *awantaż* = awantura, *blaga* = oszustwo, *barłożyć* = wszczęć burdy, *doliniarz* = kieszonkowiec, *ochrzcić kogoś* = uderzyć, a ukraść to *zaiwanić*.

ZAPOŻYCZENIA

Zapożyczenia słów z jidysz były skutkiem tego, że przed II Wojną Światową Żydzi stanowili niemal 1/3 wszystkich mieszkańców Warszawy. Języki polski i jidysz mieszały się więc na co dzień, a niektóre słowa zostały na stałe w gwarze warszawskiej. Przykładami mogą być *kojfnąć*, *bajzel*, *belfer*, *chawira*, *ciuchy* czy nawet *fajny*, oznaczające umrzeć, bałagan, nauczyciel, mieszkanie, ubrania, dobry. Te słowa są nie tylko przykładem gwary warszawskiej, ale dziś są już słownami znanymi i używanymi na co dzień przez każdego Polaka, nieświadomego, że pochodzą one z gwary warszawskiej, a zapożyczone zostały z języka Żydów.

Warszawa przez 123 lata znajdowała się pod zaborem rosyjskim, przez co duży wpływ na mowę mieszkańców stolicy miał także język zaborców. Z języka rosyjskiego zapożyczone zostały słowa takie jak *sztany*, *draka*, *cwaniak*, *kniga*, czy *prawilny*, które oznaczają spodnie, awanturę, spryciarza, książkę i człowieka z zasadami. Te słowa także często używane są dziś jako normalne ogólnopolskie wyrazy. Mimo tego, że Warszawa znajdowała się w zaborze rosyjskim, język innych zaborców, Niemców, także wpłynął na gwara warszawską i pozostawił po sobie słowa i wyrażenia takie jak *dawać cynk*, *fajrant*, *fuszerka* i *glancować*, czyli informować, koniec pracy, źle wykonaną pracę i polerowanie. Język francuski odznaczył się w XIX wieku, gdy Polacy wielibili Napoleona Bonapartego. Dlatego też francuskie zapożyczenia to głównie wykrzyknięcia, tak jak *anawa!* i *sikalafon!*, czyli *naprzód!* i *wszystko gra!*

TYPOWE PRZYROSTKI I ZMIANY FONETYCZNE

Z gwar Mazowsza syreniaki przejęły dopisywanie formantu *-ak* w rzeczownikach pospolitych (*dzieciak*, *lobuziak*, *warszawiak*, *schaboszczak*). Dlatego i dziś na przykład na Dworzec Wileński popularnie mówi się *Wileniak*, most Poniatowskiego to *Poniatoszczak*, a dawne więzienie przy ul. Pawiej nazywane było *Pawiakiem*. Doskonałym przykładem na używanie przez wszystkich Polaków gwary warszawskiej nieświadomie są typowe dla warszawiaków przyrostki *-owiec* lub *-owca* oraz *-owicz*. Tak zmienione wyrazy weszły na stałe do słownika języka polskiego, np. *ogródkowicz*, *balowicz*, *zawiadowca*, *wykładowca*. Syreniaki często zmiękczają niektóre zakończenia wyrazów, a w innych sytuacjach utwardzają je. Zestawienia głosek *kę* i *gę* wymawiane są jako *kie* i *gie*, np. *Szafkę* – *szafkie*, *slugę* – *slugie*. Twardo wymawiane są za to połączenia 1+i (*list* – *lyst*), *k' + e* (*kiedy* – *kedy*) oraz *g' + e* (*drogie* – *droge*).

ZDROBNIENIA

Typowe dla warszawskiej gwary są także zdrobnienia, np. *kotlet – kotlecik*, *złotówka – złotóweczka*, *wódka – wódeczka*. Z drugiej strony jednak dziewiętnastowieczny język prasy warszawskiej cechowała *aligancja* i poetyckie porównania i frazeologizmy. Tak na przykład przytoczony w początkowej historyjce *rycerz bata* to dorożkarz, Warszawa to *Syreni Gród*, a stróża można by nazwać *mistrzem miotły*. *Hamować piętro* to natomiast uspokoić się, a *czuć mojrę* to czuć strach. Angielka pełna czystej akwawity, która wystawała andrusowi z doliny, oznacza setkę pełną czystej wódki, która wystaje z kieszeni cwanemu chłopakowi z Powiśla. Często używanym związkiem frazeologicznym w XX wieku było wyrażenie *ożenić katolika z angelką*, a dlatego, że *katolik* oznaczał śledzia, całe wyrażenie oznaczało picie wódki pod śledzika. Po takim ślubie często uczestnicy od razu *walili w kimono*, czyli szli spać.

WARSIAWSKA KULTURA

W I połowie XX w. popularne były warszawskie piosenki. W tamtym czasie w Warszawie grało bardzo dużo kapel. Głównymi instrumentami były akordeon i mandolina. Chyba najbardziej znany wokalistą był Stanisław Grzesiuk, który był autorem hitu *Nie masz cwaniaka nad warszawiaka*, warszawską gwarę usłyszeć można także w piosenecie Mieczysława Fogga *Bujaj się Fela*. Stosowali ją czasem także współcześni twórcy, tacy jak Muniek Staszczuk i Kazik Staszewski. W literaturze warszawką gwarę i kulturę znaleźć można w *Złym Leopolda Tyrmanda* oraz w twórczości Stefana Wiecheckiego „Wiecha”, który nazywany jest uosobieniem warszawskości oraz „Homerem warszawskiej ulicy”. Dzisiaj warszawska muzyka kultywuje na przykład Warszawskie Combo Taneczne oraz Stowarzyszenie Gwara Warszawska, która prowadzi różne zajęcia, a na ich stronie internetowej zobaczyć można słownik gwary warszawskiej.

KAŻDY POLAK MÓWI GWARĄ WARSZAWSKĄ

Gwara warszawska jest więc mową z bogatą historią, a dawniej posługiwano się nią bardziej wiele osób. Dowodem na to są warszawskie piosenki i literatura, a także słowa pochodzące oryginalnie z mowy syreniaków, a dziś należące do ogólnopolskiej mowy. Często więc mówimy gwarą warszawską, nie zdając sobie z tego sprawy. Przykładami codziennych wyrazów, które oryginalnie pochodzą z gwary warszawskiej są *paczka* (grupa przyjaciół), *zmachać się* (zmęczyć się), *szlug* (papieroś), *drobniaki* (drobne pieniadze), *fucha* (praca na boku, czy *klawo* dobrze). Większość słów, które przeniknęły z gwary warszawskiej do języka ogólnopolskiego są wyrazami potocznymi, ale nie można odmówić, że są one obecne w codziennej rozmowie.

Co ciekawe mieszkańców Warszawy do dziś używają pewnych zwrotów, o których myślą, że są normalnymi polskimi słowami, a okazuje się, że niektórzy spoza Syreniego Grodu mogą ich nie znać. Postanowiłem to sprawdzić, wysyłając znajomej mieszkającej w Gorzowie Wielkopolskim kilka słów, które dość często używane są przeze mnie i moich kolegów. Po wysłaniu listy warszawskich słów, których często używam lub które często słyszę, *bajerować kogoś*, *biba*, *bryle*, *chawira*, *cieć*, *cykor*, *absztifikant*, *gica*, *kimać*, *kojfnąć*, *lafirynda*, *mamona*, *mizdrzyć się*, *zmachać się*, *być na bani*, *papa* (twarz), *kitrać coś*, *spiknąć się*, *sztama*, *wtranżalać się*, *wacha* Weronika odpowiedziała, że nigdy nie słyszała wyrazów *absztifikant*, *gica*, *kojfnąć* oraz *papa*. Ten eksperyment potwierdza zarówno, że wiele warszawskich słów przeniknęło do języka ogólnopolskiego, jak i to, że niektóre słowa używane przez syreniaków nadal nieznane są osobom spoza stolicy.

JAKUB ŁASICKI

ALMA MATER

Jedynie nieliczni, idąc ulicami miasta, zawieszają oko na architekturze. Najczęściej, jeśli w danym miejscu nie musimy załatwić jakiejś sprawy, przechodzimy koło nich obojętnie. O opuszczonych budynkach nie wspominając... Bezużyteczne obiekty tylko zabierają miejsce i szpecą miejski krajobraz. Jednak wszystko zależy od punktu widzenia, bo dla niektórych są to fascynujące obszary pełne tajemnic i zapisanych w ich murach historiiach.

CO? KIEDY? DLACZEGO?

Na ulicy Wolskiej 43 stoi niejaka ALMAMER. Założona w połowie lat 90. ubiegłego wieku niepubliczna Wyższa Szkoła Ekonomiczna. Nazwa została wzięta z łacińskiego wyrażenia Alma Mater oznaczającego Matkę Karmicielkę. Tak nazywano od średniowiecza uniwersytety, które miały obdarzać absolwentów wiedzą i kształcać ich umysł. Jak to często bywa z czasem pojawiły się problemy finansowe. Coraz mniejsza liczba studentów nie ułatwiała sytuacji uczelni, która z roku na rok wyglądała coraz gorzej. Po niespełna dwóch dekadach upadek był nieunikniony. Doszło do momentu, w którym placówka zadłużona była na 20 milionów! W 2016 roku doszło do ostateczności uczelnia została zmuszona zawiesić działalność.

ADMINISTRACYJNA WPADKA

Jednak zarząd nie podszedł do sprawy zbyt profesjonalnie – zostawiono budynek samemu sobie, nie podejmując żadnych działań. Dodatkowo zbagatelizowano tak ważny problem jak zabezpieczenie poufnych danych osobowych takich jak: dokumenty zawierające dane osobowe studentów, ich prace licencjackie, ich wizerunki na zdjęciach, wszystko to porzucono niezabezpieczone. Ale to jeszcze nie wszystko – niektórzy uczniowie nie otrzymali nawet zaświadczenie o swojej nauce, dowody na ich edukację kurzyły się w szkole. Sprawą zajął się Generalny Inspektor Danych Osobowych, dzięki któremu po wszczęciu dochodzenia, dokumenty przetransportowano w należyte miejsce. Natomiast sam rektor nie poniósł konsekwencji.

GOŚCIE

Poza aktami porzucono również sprzęt dydaktyczny, a wszelkie instalacje czy to elektryczne, czy grzewcze pozostały niezabezpieczone. Dopiero osoby trzecie, pofatygowały się by zadbać o niedochenione wyposażenie. Opuszczony budynek zyskał w niedługim czasie nowych lokatorów – bezdomnych. Liczne próby interwencji zdały się na nic. Przy braku osoby, która powinna sfinansować środki zapobiegające takim incydentom, koszty zabudowy drzwi poniósł Powiatowy Inspektor Nadzoru Budowlanego. Ale i to okazało się bezskuteczne. Zarówno bezdomnym, jak i urbexowiczom wejście oknem nie przysporzyło większych trudności...



FOT. HEDA GRABICKA

URB...CO?

Może nie dla wszystkich jest jasne, czym jest urbex. Słowo pochodzi od angielskiego *urban exploration* oznaczającego eksplorację miejską. Zapaleńców pałających uczuciem do emocjonujących wypraw w zapomniane, opustoszałe miejsca jest na tyle dużo, że aktywność zyskała oficjalną nazwę.

Proszę jednak nie porównywać tego do vandalizmu! Urbex ma swoją niepisaną zasadę: zabierz tylko zdjęcia, zostaw tylko ślady stóp (*take only pictures, leave only footsteps*). Wielka budowla jest idealną areną do tej aktywności. Dzięki braku zabezpieczenia, szkoła jest bardziej „dzika”, a tym samym bardziej ekscytująca. Niektóre piętra i pokoje dają znać, że były jeszcze niedawno zamieszkiwane. Podziemia, zupełnie zalane, pozostawiają swe tajemnice nie do zgłębiania. Windy nie działają, tak jak drzwi, w związku z czym w ścianie widnieją otwory prowadzące w przepaść. W zależności od funkcji, jakie pokoje sprawowały, czy lokalizacji, mogą się one od siebie zupełnie różnić. Jedne dalej zachowały iskierkę akademickiej atmosfery, inne porośnięte mchem wydają się wyjęte z filmu fantastycznego. Z pewnością nie są to codzienne widoki. Po przedarciu się przez te kilkanaście pięter, nadchodzi czas na dach. Dach, z którego widać klimatyczną panoramę miasta. Korzystając z urbexowej zasady, aż żal nie porobić zdjęć ze znajomymi, gdyż zdobycie takiego szczytu jest nie lada wyzwaniem. Wspaniałe dopełnienie podróży.

Jednak każdy kij ma dwa końce... Zupełnie nie przystosowany do zwiedzania pustostan, rzecz jasna, pełny jest niebezpieczeństw. Adrenalina jest tym, co przyciąga podróżników, ale jakim kosztem? W zeszłym roku, w czerwcu, mogliśmy się o tym przekonać. Szkoła ma swoją mroczną historię, była mianowicie miejscem śmierci. Trzynastoletnia dziewczyna została znaleziona martwa pod murami uczelni. Przyczyna nie jest znana do tej pory-samobójstwo, wypadek, zabójstwo z premedytacją...? Te informacje nie zostały zdradzone przez policję, budynek zyskał mroczną tajemnicę. Pozostaje mieć nadzieję, że nie zbierze kolejnego żniwa...

HELA GRABICKA

BY POSZERZYĆ HORYZONTY NASZYCH CZYTELNIKÓW I POKAĆ RÓŻNORODNOŚĆ ŚWIATA, ZDECYDOWALIŚMY SIĘ ZWRACAĆ WASZĄ UWAGĘ NA CIEKawe, NIECODZIENNE I INTRYGUJĄCE INSTYTUCJE, MIEJSCA, RZECZY. NA PIERWSZY OGIEŃ IDĄ NIETYPOWE LICEA W WARSZAWIE. TRÓJKA NIEUSTRASZONYCH REDAKTORÓW PODJĘŁA SIĘ PRZYBŁIŻENIA WAM TRZECH SZKÓŁ, KTÓRE ZNACZNIE RÓŻNIĄ SIĘ OD INNYCH I MOGĄ WAS ZASKOCZYĆ.

*ZWRÓĆ UWAGĘ: SZKOŁY W WARSZAWIE

SZKOŁA Z MUNDUREM

Na uwagę zasługuje LXXXVIII Liceum Ogólnokształcące im. Michała Konarskiego, które mieści się przy ulicy Okopowej w dzielnicy Wola. Wyróżnia się ono na tle innych warszawskich szkół nietypową ofertą edukacyjną. Nie znajdziemy tu popularnych dla liceum kierunków. Szkoła oferuje trzy profile klas: wojskowy, policyjny oraz straży granicznej. Na poszczególnych zajęciach dla danego profilu uczniowie dowiadują się m.in. jak zbudowana jest broń, jak z niej korzystać oraz poznają elementy prawa karnego. Szczególną wagę przykłada się także do nauki języków obcych. Odmienność szkoły widoczna jest także w ubiorze uczniów. Przez trzy dni w tygodniu obowiązkowym strojem w Konarskim jest mundur.

LXXXVIII LO aktywnie współpracuje z 10. Warszawskim Pułkiem Samochodowym. Dzięki temu uczniowie są zapraszani na wiele uroczystości o charakterze wojskowym lub narodowym. Jednym z największych wydarzeń był udział reprezentacji uczniów Konarskiego w defiladzie z okazji Dnia Żołnierzy Wyklętych.

DOROTA PISAREK



SZKOŁY KATOLICKIE

Kolejnym odłamem polskiego szkolnictwa są prywatne szkoły podstawowe oraz licea katolickie. Tak jak w każdej innej szkole odbywają się tu 45-minutowe lekcje, a uczniowie uczą się w trybie podzielonym na dwa okresy nauki oddzielone feriami zimowymi. Szkoły te różnią się jednak kilkoma aspektami, które dziwią niektórych nastolatków. Ponieważ sama miałam do czynienia ze szkołą katolicką, często mogłam spotkać się z opiniemi na jej temat z zewnątrz. Były to przypuszczenia o dzieciach, które mogą sobie pozwolić na naukę w tej szkole jedynie dzięki zamożnym rodzicom i młodzieży, która sięga po używki oraz alkohol. Często wśród opinii przebiły się słowa współczucia skierowane do uczniów szkół katolickich oraz żarty z nich. Wszystkie przypuszczenia są błędne. Przybliżę wam, jak wygląda uczenie się w murach takiej szkoły.

Pierwszą rzuającą się w oczy różnicą pomiędzy szkołą katolicką, a państwową jest brak częściowej swobody. Kolorowe ubrania, włosy i dowolny ubiór zastąpione są jednolitymi mundurkami, różniącymi się jedynie ich formą, inną dla dziewcząt i chłopców. Ubiór dziewcząt w moim przypadku składał się z kraciastej spódnicy (najlepiej lekko wychodzącej za linię kolan), białego bądź granatowego polo oraz czarnego sweterka (z naszym na nim logo szkoły). Ubiór chłopców różnił się jedynie dowolnie przez nich dobranymi spodeniami (bez popularnych w modzie dziur!) oraz czarnym sweterkiem w serek (swetry dziewczyn zapinane były na guziki). Niektóre szkoły mają również tak zwane stroje galowe, które uczniowie zakładają na ważne szkolne uroczystości, konkursy oraz wyjścia pozaszkolne. To, jak wygląda szkolny strój młodzieży, wynika z zarządzenia danego dyrektora bądź historii szkoły. Zdziwię was również faktem, że niektóre ze szkół posiadają także specjalny ubiór na lekcję wychowania fizycznego czy tańców. Najczęściej jest to biały t-shirt oraz bluza ze znaczkiem szkoły. Naturalny kolor włosów oraz wygląd dziewczyn bez zbytnie podkreślonych brwi dąży do spełniania narzuconych przez szkołę zasad m.in. skromności.

Drugą różnicą, wzbudzającą wręcz oburzenie u niektórych nastolatków, jest zakaz używania na terenie szkoły urządzeń elektronicznych, takich jak telefon, bez wiedzy/zgody nauczyciela. Taki zakaz w moim przypadku rozpoczynał się wraz z rozpoczęciem lekcji o godzinie 8 rano i trwał aż do ich zakończenia około godziny 15. Nie da się ukryć, że wielu uczniów nosiło telefon w kieszeni i korzystało z niego w szatniach (ze słabym zasięgiem) bądź kabinach w szkolnych łazienkach. Niektóre szkoły wprowadzają również pudełka, do których uczniowie wkładają wyłączone telefony, a następnie odpowiedzialna za nie osoba odnosi je do pokoju nauczycielskiego oraz odbiera je po zakończeniu zajęć dydaktycznych. Według mnie zakaz używania w ciągu dnia szkolnego, ale również na szkolnych wyjazdach, telefonu komórkowego wpływa dobrze na uczniów oraz na ich skupienie podczas 8 godzinnego dnia w szkole. Smutnym widokiem jest rząd siedzących pod ścianą rówieśników ze schyloną głową wpatrzoną w ekran ulubionego urządzenia. W szkole podstawowej, do której uczęszczalam, nigdy nie spotkałam się z takim widokiem. Tu dzieciaki dla odmiany siedziły z książkami w dłoniach, dojadały pozostałości po drugim śniadaniu oraz grały w piłkę na dwóch dużych boiskach.

Na samym końcu warto jest wspomnieć również o obowiązkach uczniów uczęszczających do katolickiej szkoły. Do zachowania, oprócz poprawnych ocen i wzorowej frekwencji, wliczane jest wypełnianie podanych w statucie czynności, do których zalicza się między innymi uczęszczanie na szkolne msze święte, nabożeństwa. Ważne jest również nasze zachowanie, sposób, w jaki się wyrażamy oraz to czy nasz mundurek nosimy w schludny i zadbane sposób. Ważna jest wzajemna pomoc koleżeńska, uczęszczanie na kółka zainteresowań i reprezentowanie szkoły z jak najlepszej strony podczas pozaszkolnych konkursów plastycznych czy recytatorskich.

NATALIA WALESIENIUK

LXIV LICEUM IMIENIA STANISŁAWA IGNACEGO WITKIEWICZA WITKACEGO

Popularny „Witkacy” to liceum eksperimentalne znajdujące się na Żoliborzu. Eksperyment w nim polega na planowaniu przez uczniów osobistej ścieżki rozwoju w trakcie uczęszczania do tej szkoły. W praktyce polega to na tym, że kandydaci rekrutując się do „Witkacego” dzieleni są na klasy tylko ze względu na wybór drugiego języka (niemiecki, hiszpański, rosyjski, francuski). Rozszerzone przedmioty wybierane są dopiero po skończeniu 1 klasy w tej szkole, co umożliwia lepsze poznanie nauczycieli i dłuższą diagnozę swoich mocnych stron podczas nauki w licealnym trybie. Dzięki temu rozszerzenia wybiera się już po pierwszej klasie liceum, kiedy często następuje zmiana naszych zainteresowań.

Ważne jest to, że nie ma ograniczeń w łączeniu przedmiotów rozszerzonych. W „Witkacym” nie ma więc typowych klas humanistycznych czy ścisłych, lecz każdy może połączyć na przykład rozszerzenie z języka polskiego z matematyką, czy biografię z wiedzą o społeczeństwie. Jedyne ograniczenie to liczba wybranych rozszerzeń, która zawsze wynosi 2, a trzecim rozszerzonym przedmiotem jest język klasy, do której się uczęszcza (z wyjątkiem klasy rosyjskiej, gdzie rozszerzony jest język angielski).

Co więcej, możliwa jest zmiana rozszerzeń także w późniejszym czasie. Wszystko zależy od odpowiedzialności za własne wybory i świadomego podejścia do nauki. Jeżeli zdecydujemy się na zmianę rozszerzenia polskiego na matematykę w 2 lub 3 klasie, musimy nadrobić cały stracony materiał. Ta innowacyjna metoda została wprowadzona ze względu na wyniki badań, które pokazują, że większość współczesnych uczniów będzie w przyszłości pracowała w zawodach, które jeszcze nawet nie istnieją. „Witkacy” chce pomóc uczniom odnaleźć się na dynamicznie zmieniającym się rynku pracy.

Większość maturzystów przez to, że nie wie, co chce robić w przyszłości, wybiera studia w sposób nieprzemyślany. W lepszym poznaniu swoich mocnych stron oraz skonkretyzowaniu swojej życiowej ścieżki pomaga uczniom „Witkacego” prowadzony tam program tutoringu. W pierwszej klasie każdy uczeń może wybrać nauczyciela na swojego tutora. Organizują oni wtedy indywidualne spotkania, w trakcie których tutor stara się poznać lepiej swojego podopiecznego oraz pomóc mu dokonać właściwych wyborów rozszerzeń i przyszłych studiów.

LXIV LO stosuje także szereg innych niecodziennych sposobów nauczania. Głównymi zmianami w tej szkole są lekcje trwające 60 minut oraz podział roku na trzy trymestry, zamiast standardowych dwóch semestrów.



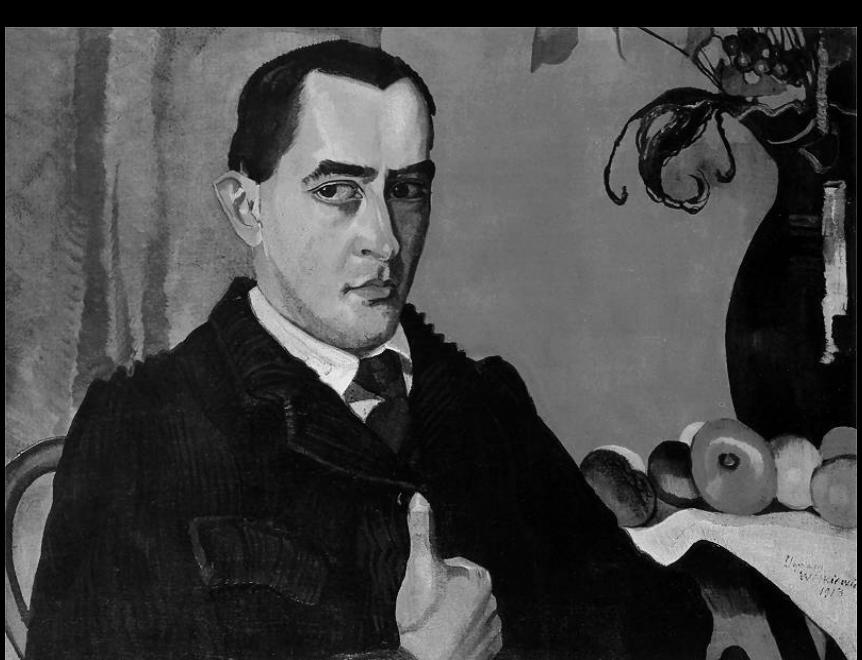
Te zmiany według Ani, uczniom klasy maturalnej w „Witkacym”, potrafią być dużą korzyścią dla uczniów, ale także czasem przeszkodą: *Plusem trymestrów jest zdecydowanie to, że, zamiast dwóch, mamy trzy „duże” oceny na rok. Dzięki temu każdy uczeń i uczennica, pomimo gorszego okresu, ma możliwość wyprowadzić swoje oceny na wysoki poziom na świadectwie. Niestety czasem trudno połapać się, kiedy zaczynają i kończą się trymestry. W szkole panuje duży chaos organizacyjny. Do godzinnych lekcji mam stosunek mocno ambivalentny, bo to zależy od nauczyciela, nauczycielki lub czy dobrze zagospodaruje te 60 minut.*

Czasami, choć brzmi to dziwnie, godzina wydaje się zbyt krótka - niektóre osoby tak wspaniale prowadzą lekcje. Innym razem jednak człowiek może przejrzeć całego Instagrama, przeczytać podręcznik, skończyć czytać książkę, a zostaje jeszcze 20 minut do przerwy.

Minimalizować chaos może to, że każda klasa ma przypisaną salę lekcyjną, w której odbywa wszystkie wspólne lekcje. Uczniowie rzadziej zmieniają więc sale, a każda klasa może decydować o wystroju swojej pracowni przez całe 3-4 lata uczęszczania do tego liceum. *Każda klasa ma prawo do ozdabiania swojej sali – przykładowo, w mojej sali wiszą obrazy malowane przez moich kolegów i koleżanki, a ściany pomalowane są na błękitno, z białymi chmurkami* – opisuje Ania.

Tajemnicą niestandardowego trybu Witkacego jest członkostwo w Towarzystwie Szkół Twórczych. Należy do niego 30 szkół w Polsce (w tym np. licea im. Domeyki i Staszica w Warszawie). Szkoły te opierają swój program nauczania na nowatorstwie dr Danuty Nakonecznej. Od lat 70. XX w. była ona nauczycielką, która prowadziła profilowane klasy i założyła pierwsze eksperimentalne liceum w Polsce. Na podstawie badań wyników uczniów tych szkół doskonaliła swoją wizję edukacji. Szkoły oparte na eksperymencie Nakonecznej jako pierwsze w Polsce wprowadzały 6-stopniową skalę ocen, samorządy uczniowskie, wymiany międzynarodowe i wiele innych rzeczy, które końcowo trafiły do ogólnopolskiego systemu edukacji.

Witkacy ma jednak także dużo wspólnego z Sobieskim. Jak mówi Ania: *O naszej szkole często mówi się, że chodzą tam artystyczne dusze, co nie zawsze jest zgodne z prawdą. Przykładowo, większość mojej klasy chodzi na rozszerzenia matematyczno-fizyczne. Myślę, że po prostu to urok naszego pokolenia, że każdy wyraża się w jakiś ambitny sposób - czy to w wyglądzie, hobby, czy podczas zajęć pozalekcyjnych. Ciekawostką o Witkacym jest też to, że plan lekcji zmienia się praktycznie co tydzień (kolejny przykład chaosu). Choć czasami plan może się utrzymać przez dwa miesiące, to innym razem może zmieniać się co dwa dni przez tydzień.*



AUTOPIORTRET STANISŁAWA IGNACEGO WITKIEWICZA

JAKUB ŁASICKI

TANIO SZYBKO JAK OŚCIOWO

Jedziesz autobusem, krople deszczu ściągają się między sobą, spływając leniwie w kierunku swojego przeznaczenia, na zewnątrz niewiele widać, kontury szarych bloków zacierają się. Rozważasz przez chwilę uciecie sobie drzemki, gdy nagle za oknem twoją uwagę przykuwa wielki szyld z szynką oraz znajdującym się nad nią białym wyraźnym napisem DELIKATESY. Coś cię ruszyło, dostrzegłeś pewną dziwną estetykę w tym krajobrazie, zobaczyłeś, że to coś więcej niż tylko reklama sklepu – to również część lokalnej estetyki. Przez chwilę zasmuca cię fakt, że takie graficzne zwycięstwo uzupełnia miejską przestrzeń, lecz zdajesz sobie sprawę, że niekoniecznie możesz coś z tym faktem zrobić, przynajmniej nie w tym momencie, więc postanawiasz dostrzec w nim piękno.



Nasza galeria, pokazuję szyldy, które codziennie widzimy: biegąc na autobus, spoglądając przez okno na drugą stronę ulicy, czy po prostu spacerując. Zdjęcia są pozbawione kolorów – co odziera je z ich najważniejszego, zaraz po napisie, elementu, który ma przyciągnąć uwagę. Pozwala to przyjrzeć się im trochę dokładniej, łatwiej dostrzec podobieństwa między nimi i ujrzeć, że bez krzykliwych kolorów wiele z nich naprawdę mogłyby ładnie urozmaicić i wpasować się w niego.



Głęboko wierzymy, że ktoś zainspirowanych tym krótkim tekstem oraz naszymi zdjęciami, popatrzy na szyldy trochę mniej surowo oraz czasem (niczym starożytny myśliciel bądź poeta) stanie w miejscu, by przyjrzeć się światu.





JULIAN STACHOWSKI

Dr. Martens-powstanie legendy

Martensy już od wielu lat rządzą światem obuwniczym. Marka zaczynała po II Wojnie Światowej i do dzisiaj buty te są uznawane za klasykę.

Dr. Martens powstał w bardzo ciekawych okolicznościach, a historia marki może zaskoczyć.

Skąd wziął się pomysł?

Rok 1945, Alpy Bawarskie – niemiecki lekarz wojskowy, Hans Maertens doznaje, skręcenia kostki. Ból powiększa się przez noszone wojskowe, ciężkie obuwie. Maertens postanawia przerobić swoje buty tak, żeby pomimo urazu mógł w nich swobodnie chodzić. Dodaje wyściólkę amortyzującą stopę podczas chodzenia.

Trudne początki

W 1947 roku Maeretns, zachwycony swoim wynalazkiem, postanawia stworzyć kolejne pary butów na wzór tych z '74. Obuwie nie cieszy się jeszcze wtedy dużym zainteresowaniem. Mimo to Maertens ze swoim znajomym, dr. Herbertem Funckiem, postanawia założyć spółkę i zacząć masowo produkować buty. Od tego momentu marka zyskuje na popularności. Można by pomyśleć, że ciężkie obuwie, które swój początek wzięło od butów wojskowych, będzie trafiać do robotników. Jednak największym zainteresowaniem martensy cieszą się wśród gospodyń domowych. Kobiety doceniają te buty za wygodną i dobrze wykonaną podeszwę.

Początek legendy

W 1959 roku firma zostaje sprzedana angielskiemu biznesmenowi, Billowi Griggsowi. Postanawia on wprowadzić parę zmian w marce i wyglądzie butów – na przykład rozpoczyna dodawanie nad podeszwą żółtego obszycia, co charakteryzuje martensy do dziś. Rok później, 1 kwietnia 1960 roku, do sprzedaży wchodzą buty Dr. Martens 1460. Ten model, w odróżnieniu od poprzedniego, ma osiem dziurek na sznurowki. Ciekawostką jest, że 1460 swoją nazwę nosi od daty wprowadzenia produktu na rynek. Model ten staje się ikoną i nie tylko w latach 60., ale do dzisiaj od razu jest kojarzony z marką Dr. Martens. Szczególne zainteresowanie przynosi lata 90., kiedy popularna staje się stylizyka grunge. Martensy zostają uznane za symbol rozpoznawczy tej subkultury. W martensach chodzi Madonna, Ryan Gosling i wiele innych gwiazd show-biznesu.

Od kryzysu do przyszłość dla mody i trendów

W 2003 roku nadchodzi kryzys. Firma odnotowuje duży spadek sprzedaży, przez co zamiera wszystkie fabryki w Wielkiej Brytanii. Produkcja zostaje przeniesiona do Chin i Tajlandii. Na szczęście, po wprowadzeniu do sprzedaży nowej kolekcji w 2004 roku, przychodzi lepszy czas dla firmy. Jej sukces trwa do dziś. Martensy to nadal chętnie noszone buty i bezapelacyjnie jedne z najbardziej wyjątkowych na rynku. Od lat 90. są symbolem buntu oraz awangardy. Oby dalej wyznaczały trendy w modzie i inspirowały indywidualistów.

FILIP PARDYAK, FOT. EMILIA WÓJCIK

CO NOWEGO W SPORCIE

JAK POLSCY ATLECI PRZYGOTOWUJĄ SIĘ DO IGRZYSK W TOKIO?

Polscy atleci przyjęli tę wiadomość ze spokoju. Oznacza dla nich więcej czasu na trening. W związku z zamkniętymi obiektami sportowymi kadra jest zmuszona do ćwiczenia tam, gdzie się da.

Piotr Małachowski, reprezentant Polski oraz zdobywca dwóch srebrnych medali w Rio i w Pekinie, trenuje wszędzie – na parkingach albo w ogrodzie. Jak sam przyznaje, niestety nie są to odpowiednie warunki. Po igrzyskach w Tokio, Małachowski zamierza zakończyć swoją karierę.

Nadziej na medal mają polskie wioślarzy. Gdy dowiedziały się o przełożeniu igrzysk, poczuły zdenerwowanie i stres, pomimo tego nie przestały trenować. Pomimo obostrzeń, trener Polek rozpisał dla nich plan treningów. Jedyną różnicą jest to, że zamiast na wodzie, trenują na ergometrach. Utrzymują dzięki temu podobną moc i wytrzymałość, co na treningach na wodzie. Dużym zmartwieniem dla zawodniczek jest to, że podobnie jak igrzyska, odwołane zostały inne zawody, które byłyby dobrym sprawdzianem i treningiem przed olimpiadą.

Anita Włodarczyk, która dwukrotnie zdobyła złoty medal w rzucie młotem, oprócz przełożenia igrzysk i obostrzeń, otrzymała kolejny cios. Po ponad dziesięciu latach jej trener – Krzysztof Kaliszewski - zakończył z nią współpracę. Według Anity trener nie wierzy, że jest ona w stanie osiągnąć taką formę, jak kiedyś i zawałczyć o miejsce na podium. Pomimo tego Włodarczyk wierzy w swoje możliwości. Niedawno zawodniczka doznała kontuzji i musiała przejść serię zabiegów, przez co nie mogła mieć intensywnych treningów. Prowadziła samodzielną rehabilitację przygotowaną przez specjalistę. Znalazła nową pasję – rower stacjonarny. Spędza na nim dużo czasu, dzięki czemu utrzymuje wydolność na odpowiednim poziomie.

NOWY SELEKCJONER POLSKIEJ KADRY. KIM JEST PAUL SOSA?

W styczniu na stronie PZPN pojawił się komunikat: „Polski związek Piłki Nożnej informuje, że z dniem 18 stycznia 2021 roku selekcjoner Jerzy Brzęczek przestał pełnić obowiązki selekcjonera reprezentacji Polski”. Kim jest nowy trener polskich piłkarzy?



Paul Sosa jest byłym reprezentantem Portugalii (U-20 1989) (lata 1991 – 2002). Występował w jej kolorach w 51 meczach. Grał w klubach takich jak: Juventus, Borussia i Inter Mediolan. Jako zawodnik dwa razy zdobył Puchar Ligi Mistrzów, puchar i mistrzostwo Włoch, natomiast jako trener zdobył mistrzostwo Izraela z Maccabi Tel Awiw oraz mistrzostwo Szwajcarii z FC Basel. Kiedy był trenerem, wziął pod skrzydła drużyny takie jak: Queens Park Rangers, Leicester City F.C., Maccabi Tel Awiw, ACF Fiorentina.

POLKA NA AUSTRALIAN OPEN

W tym roku pierwszy występ w Australii zaliczyła Iga Świątek. Przed uczestnictwem zawodniczy byli zmuszeni do dwutygodniowej kwarantanny. Pierwszy tydzień Świątek trenowała z Ukrainką Eliną Switoliną. W drugim tygodniu trenowała z Białorusinką Wiktorią Azarenką, będącą liderką rankingu, mistrzynią wielkoszlemową oraz z Rosjanką Darią Kasatkiną. Z Azarenką Świątek grała podczas zeszłorocznego US Open. Przegrała w 3 rundzie po dość wyrównanym spotkaniu.

W pierwszym pojedynku Świątek wygrała z Arantxą Rus 6:1, 6:3. W drugim spotkaniu zmierzyła się z Camilią Giorgi z wynikiem 6:2, 6:4. Trzeci mecz Polka wygrała po zażartej rywalizacji z Francuzką Fioną Ferro. W czwartym spotkaniu polska tenisistka musiała uznać wyższość Simony Halep: 6:3, 1:6, 4:6.

Halep jest triumfatorką French Open 2018 i Wimbledonu w 2019 roku, finalistką Australian Open sprzed trzech lat. W poprzednim sezonie odpadła rundę wcześniejszą. Teraz o awans do półfinału zagra z rozstawioną z numerem 10 Sereną Williams. Starsza o 10 lat Amerykanka walczy o 24 tytuł wielkoszlemowy w singlu i wyrównanie rekordu wszechczasów.

NOWY TERMIN IGRZYSK

Obserwując obiekty przygotowane na olimpiadę, nikt nie mógł przypuszczać, że ta zostanie przeniesiona w związku z rozprzestrzeniającym się wirusem. Dotychczas igrzyska były przenoszone cztery razy, głównie z przyczyn konfliktów zbrojnych, jednak nigdy nie zdarzyło się, żeby data zmieniła się kompletnie.

FRANCISZEK RYSZKO

ROZGŁOS DLA MAŁYCH MAREK

„ORYGINALNE, CZASOCHLONNE, PRZYCIĄGAJĄCE UWAGĘ” – SĄ TO TRAFNIE DOBRANE SŁOWA TWÓRCZEJ @LITTLEDREAMERSHOP. MOWA TU O MAŁYCH MARKACH, KTÓRE ROZWIJAJĄ SIĘ NA INSTAGRAMIE. WŁASNORECZNIE ROBIONE PRODUKTY RODZĄ SIĘ Z PASJI UTALENTOWANYCH TWÓRCÓW, KTÓRYCH WYJĄTKOWĄ PRACĘ PRZEDSTAWIĘ W OPARCIU O ICH WYPowiedzi.

Docenienie motywuje, zachęca do dalszego działania i doskonalenia swojego rzemiosła. Proces tworzenia wymaga szerokich pokładów cierpliwości. Co rekompensuje twórcom czas spędzony nad stołem z materiałami?

„Przy tworzeniu pojawia się jakaś potrzeba aprobaty i naprawdę, każdy jeden komentarz motywuje do działania i utwierdza mnie w przekonaniu, że idę w dobrą stronę. To jest najlepsza nagroda za całe miesiące pracy”.

Słowa @sznurki_ pokazują, jak bardzo twórcy małej marki potrzebują dobrego, ciepłego odzewu ze strony odbiorców. Wyrażajmy swój zachwyt na tyle, ile możemy, aby utwierdzać artystów w przekonaniu, że to, co tworzą, jest podziwiane.

Jednym z etapów zakładania konta firmowego na Instagramie (takie konto pozwala nam śledzić statystyki) jest wybór specjalizacji naszej działalności. Powszechnym zjawiskiem u małych twórców jest określanie swojej osoby i działalności jako „artysta” czy też „produkt/usługa”. Podziwiam posiadaczy minimarek za to, ile sztuki potrafią zawiązać w jednym produkcie. Doceniam połączenie estetyki i piękna z praktyką. Zastanawia mnie jedynie, czy twórcy napotykają trudności w określeniu swojej działalności. Dlatego też o zajęcie stanowiska poprosiłam @kosmosy_jwlr – czy jako autorce produktów bliżej jest jej do przedstawienia się jako twórczyni produktu, czy może artystka.

„Zdecydowanie jest mi bliżej do określania się jako artystka. Kiedyś to miano wydawało mi się bardzo prestiżowe, i trochę wstydziłam się o sobie tak myśleć, ale dziś zdecydowanie uważam, że sztuka nie musi być wyłącznie wysoka. Twórcy i twórczynie rękozidlela zdecydowanie są w moich oczach artystami! Przy prowadzeniu swojej minimarki trzeba mieć jakieś pojęcie o estetyce i projektowaniu, a każdy przedmiot wychodzący spod naszych rąk to małe dzieło sztuki. Uważam wszystkich rękozidleńników za artystów, którzy w każdym przedmiotie wkładają swoje serce”.

Produkty wychodzące spod palców niszowych twórców są unikatowe. Artycy tworzą pojedyncze, jedyne w swoim rodzaju produkty. W swojej wypowiedzi @pestka.pracownia również trafnie określiła się jako artystka, rzucając światło na niepowtarzalność sprzedawanych dzieł.

„Myślę, że określenie artysta lepiej niż słowo usługa odzwierciedla wizję tego co robię. Nie tworzę na masową skalę, większość moich produktów dostępna jest w pojedynczych sztukach”.

ŚLEDZĄC ROZWÓJ KONT MAŁYCH TWÓRCÓW, MOŻEMY CZĘSTO ZAOBSERWOWAĆ, W JAKI SPOSÓB ICH STYL TWORZENIA CZY PODEJŚCIE DO BUDOWANIA KONTA EWOLUOWAŁY NA PRZESTRZENI CZASU. PROWADZENIE TAKICH OBSERWACJI UZMYSŁOWI NAM, W JAK ŚWIADOMY I WYMAGAJĄCY STAŁEGO ZAANGAŻOWANIA SPOSÓB ARTYŚCI ROZWIJAJĄ SWOJE DZIAŁALNOŚCI

@littledreamersshop: „Konto zaczynałam od samego haftu, z czasem doszło trochę malowanych rzeczy, a od nieco ponad roku uczę się także szydełkowania. Uczę się nowych technik, rozwijam się. (...) Nauczyłam się także bardziej szanować swój czas”.

@kosmosy_jwlr: „Zmieniła się głównie moja technika wykonywania biżuterii (...) Zaprojektowałam identyfikację wizualną tak, żeby wszystko było spójne. Zaczęłam przykładać wartość do estetyki profilu”.

@pestka.pracownia: „Nauczyłam się przede wszystkim cierpliwości do samej siebie i opanowania, a to wpłynęło też na podejście do tego, co robię. Staram się tym bawić i doceniać swoją pracę”.

@sznurki_: „Pierwsze zdjęcia, rok temu, robiłam telefonem w swoim pokoju, bez żadnego doświadczenia, sprzętu, niczyjej pomocy. Obecnie raz na miesiąc lub dwa organizuję sesje zdjęciowe – teraz już z profesjonalnym oświetleniem, z pomocą makijażystki i moich koleżanek, które świetnie odnajdują się w roli modelek. (...) Uczę się na co dzień budowania relacji z powiększającą się Sznurkową społecznością. Projektowanie i wykonywanie własnych projektów uczy pokory i cierpliwości, a najbardziej szacunku wobec samych artystów oraz cen ich produktów”.

TWORZENIE POSTA NA INSTAGRAM ANGAŻUJE WIELE OSÓB. ABY FINALNY EFEKT PRZYCIĄGNĄŁ UWAGĘ JAK NAJWIĘKSZEJ ILOŚCI ODBIORCÓW, ZDJĘCIA PRODUKTU MUSZĄ WIZUALNIE ZACHĘCAĆ. W POSTY MAŁYCH MAREK WKŁADANA JEST ENERGIA I DOŚWIADCZENIE.

Należy doceniać wszystkie osoby zaangażowane w tworzenie postów. Produkty @sznurki_ są fotografowane przez Agnieszkę Sadowską. Odpowiednie wyeksponowanie danej rzeczy na zdjęciu przykuwa uwagę odbiorcy. Nie zapominajmy o osobach, które przykładają się do jak najlepszego przedstawienia produktu – mowa tutaj o modelkach. Sznurkowe rzeczy prezentują Lea Elbanowska, Julia Borowska i Julia Warzycka. Na pozytywny odbiór posta wpływają nawet najmniejsze szczegóły. Nad makijażem modelek Sznurków czuwa Weronika Kosowska. Dbałość o takie elementy pokazuje, jak bardzo twórcy przykładają się do publikowanych treści.

SZCZEGÓLNE WAŻNE JEST UZMYSŁOWIENIE ODBIORCOM PRAWDZIWEGO PROCESU TWORZENIA PRODUKTU. NAJCZĘŚCIEJ BIERZEMY UDZIAŁ W PRODUKCJI TYLKO PODCZAS SKŁADANIA ZAMÓWIENIA I JEGO ODBIORU. WARTO ZAINTERESOWAĆ SIĘ PROCESEM TWORZENIA PIERŚCIONKA, UBRANIA CZY TORBY.

@littledreamersshop: „Odbiorcy nie widzą tej długiej pracy, pełnej prób i błędów, poprawek i zacyznania od nowa, aż do uzyskania pożądanego efektu”.

@kosmosy_jwlr: „Nie dostrzegają też długich godzin poświęconych na poszukiwanie półfabrykatów – czasem trzeba czekać tygodniami, aż pojawi się ich dostawa i będzie je można zakupić. Czasochłonne jest testowanie ich na sobie – czy wszystko jest z nimi w porządku, czy nie psują się albo nie czernią, czy biżuteria z nimi jest wygodna w użytkowaniu...”

@pestka.pracownia: „Coś, o czym zazwyczaj się nie mówi, to na pewno porażki – to ile razy coś nie wyszło i ile razy próbowaliśmy, aby w końcu dojść do zadowalającego efektu i móc cieszyć się gotowym produktem”.

@sznurki: „Ten proces obejmuje wszystko – od pomysłu, przez projekt, prototyp, dobór rozmiarów i krojów, wykonanie, zdjęcia, marketing, po pakowanie, wysyłki... to naprawdę trudne, żeby wszystko organizować samemu! Tak naprawdę najwięcej czasu i energii zajmuje sam projekt”.

WSZYSTKIE ARTYSTKI ZGODNIE ODPOWIEDZIAŁY: NA FINALNY PRODUKT SKŁADAJĄ SIĘ WYKONYWANE PROJEKTY, A PÓŹNIEJ GODZINY PRÓB I STARAŃ. TWÓRCY DBAJĄ O JAKOŚĆ SWOICH DZIELI I STALE DĄŻĄ DO PERFEKCJI, BY KLIENT CZUŁ WYJĄTKOWOŚĆ PRZEDMIOTU.

O TWÓRCZYNIACH:

@PESTKA.PRACOWNIA

„Drugie życie dla niechcianych ubranek” to słowa z opisu instagramowego konta Pestki.

Wyjątkowym materiałem nadaje ona nowy, unikalny charakter poprzez tworzenie z nich torb, materiałowych akcesoriów do włosów czy nawet kapeluszy. Jest niezwykle kreatywną perfekcjonistką, która odnalazła pasję w tworzeniu! Dzięki nietypowym materiałom, każdy produkt Pestki jest jedyny w swoim rodzaju.



@LITTLEDREAMERSHOP

Konto zaczynała od samego haftu. Z czasem do oferty dodała również wyroby malowane. Od ponad roku uczy się szydełkowania i postępami dzieli się na Instagramie. Rozwija się od 2016, a jej konto staje się coraz bardziej kolorowe.

Młoda marzycielka zajmuje się zarówno wyszywaniem, jak i szydełkowaniem wielu różnych wzorów na ubraniach.



@KOSMOSY_JWLR

Odskocznia od etatowej pracy okazały się właśnie Kosmosy. Na koncie zobaczycie cudowną biżuterię, a Waszą uwagę przykuje pudrowo-różowa estetyka profilu. Autorka bardzo dba o klientów, dołączając do zamówień liścik i własne ilustracje. Kolekcje własnoręcznie tworzonej biżuterii możecie podziwiać na Instagramie oraz w sklepie internetowym.



@SZNURKI

Swoją twórczość Sznurki przyczynia się do szerzenia nurtu slow fashion, który jest dla niej ogromnie ważny. Kupując w second handach oraz nosząc własnoręcznie robione ubrania, dba o środowisko. Marzy, aby kiedyś stworzyć cały outfit z samych ubrań Sznurków. Uwielbia przygotowywać swoje prace również dla siebie. Na jej Instagramie i Vinted możecie podziwiać kultowe sznurkowe topy, berety jak i kamizelki.



Nasza gazeta dociera do coraz szerszego grona czytelników, co bardzo mnie cieszy. Jak pisałem w ostatnim Bidonie – uwielbiam opinie czytelników. Ta, na którą ostatnio się natknąłem, szczególnie mnie urzekła. Anonimowy uczeń Liceum im. Bolesława Prusa napisał na swojej stronie, że Kurier ma, parafrując, „świetny dział humorystyczny”. Drogi uczniu Prusa, jeżeli chodziło Ci o

BIDON KOLORU NIEZNANEGO

cykl felietonów o rzeczach WAŻNYCH i POWAŻNYCH

to bardzo Ci dziękuję. Prawdę mówiąc, nie wiem dlaczego nazwałeś, anonimowy uczeń Prusa, mój dział humorystycznym. Zajmujesz się tutaj tylko istotnymi sprawami (odmówilem umieszczenia ogłoszenia o Dniach Czerniakowa) i zawsze tak było. Rozważania i przemyślenia, które tu zamieszczam, zawsze prowadzą do wartościowych wniosków. Tyle, jeśli chodzi o formalności. A ważnym i poważnym tematem, który postanowiłem podjąć w tym numerze jest coś, co zapewne jest także dla Ciebie, anonimowy uczeń Prusa, bardzo ważne. Na pewno jest ważne dla mnie.

O WOLNOŚCI SŁOWA

Pewne jest, że powinna być ona podstawowym prawem każdego człowieka – wszyscy powinni móc swobodnie wyrażać swoje opinie, poglądy i przekonania. Gdzie jednak leży granica – gdzie kończy się wolność słowa? W jakich sytuacjach zasłanianie się wolnością słowa staje się absurdalne? To już kwestia dyskusyjna. Niemało osób powiedziały, że granicy w ogóle być nie powinno, że wolność słowa powinna dotyczyć absolutnie wszystkich wypowiedzi, nawet tych (delikatnie mówiąc) bardzo nie na miejscu. Ta libertariańska, radykalna narracja ostatnio staje się coraz popularniejsza i powoduje coraz bardziej abstrakcyjne sytuacje na polskim podwórku. Można nawet pokusić się o stwierdzenie, że termin „wolność słowa” staje się pustym sloganem.

Ogromną popularność w polskim internecie zdobył ostatnio nowy polski portal społecznościowy – **Albicla.com**. Obawiam się jednak, że nie na takiej popularności zależało jego twórcom. Portal apo kilku dniach od startu stał się memem. Dlaczego? Powód jest kilka. Po pierwsze – portal reklamuje się jako „strefa wolności słowa”. Brzmi to bardzo patetycznie. Czy to znaczy, że założyciele Albicli twierdzą, że globalne portale społecznościowe jak Facebook czy Twitter te wolność ograniczają? Właśnie, założyciele. Serwis został stworzony przez Tomasza Sakiewicza i jego Klub Gazety Polskiej. Dla nieswiadomych – ludzi o poglądach prawicowych i bardzo konserwatywnych. Sakiewicz sympatyzuje z partią rządzącą (był na przykład zaangażowany w kampanię PiS w 2015 roku) – sam siebie nazywa jednak dziennikarzem niezależnym. Mimo tego twierdzi, że dziennikarstwo powinno się prowadzić, jasno wyrażając swoje poglądy. Gdy przybliżylem wam postać założyciela, zapewne część z was powiązała już fakty. Oczywiście, że fundatorzy portalu twierdzą, że wielkie serwisy ograniczają wolność słowa – Twitter przecież zbanował Trumpa.

Od tamtego wydarzenia powstał jeszcze jeden polski „portal społecznościowy” – **wolnisłownianie.pl**. On także był reklamowany jako „strefa wolności słowa”. A był reklamowany w bardzo nietypowy sposób i w nietypowym miejscu: na YouTubowym kanale Dzikiego Preppers, na którym można znaleźć ciekawe materiały np. o morsowaniu, wędkarstwie czy też budowie silosów zbożowych. To tam pojawił się film, w którym założyciel Wolnych Słowian opowiada o portalu. Przez cały film ma na twarzy kominiarkę, nie wiadomo czy dlatego, że wstydzi się promować własny portal swoją twarzą, czy są jakieś inne przyczyny. Towarzyszy mu zamaskowana „przyjaciółka” która „reprezentuje zespół informatyków”. Przez cały film założyciel podkreśla jak historycznym momentem jest powstanie portalu. Podkreśla, że wzmacnia to niezależność Polski od wielkich i złych koncernów social mediów (podkreślam, że mówi to na YouTubie). Cały czas zwraca uwagę na wolność wypowiedzi na portalu. Serwis jednak bardzo szybko zweryfikował własny slogan – zbanował Krzysztofa Gonciarza, praktycznie od razu po tym jak ten założył tam konto. Portal nie poradził sobie z masowym rejestrowaniem się ludzi nie życzliwie nastawionych do twórców. Obecnie nie da się już założyć konta.

Wróćmy więc do Albicli. Jak zapewne się domyślisz, Albicla już na samym początku swojego istnienia stała się prawicową bańką informacyjną. Początkowo największymi kontami na portalu były konta portalu niezależna.pl (jest on powiązany z Gazetą Polską), a także oddziałów Klubu Gazety Polskiej z różnych miast kraju. Tak, każdy oddział Klubu ma własny profil, a treści, które te profile zamieszczają, są bliźniaczo podobne. Następymi kontami, które zyskały popularność, były profile polityków PiS oraz filie partii z różnych stron Polski. Bańka informacyjna wykształciła się już na dobre – żadne lewicowe głosy nie przebijają się przez portal. Wolność słowa na Albicli to tylko element marketingowy – nie jest to w żadnym wypadku portal, na którym możliwa jest swobodna dyskusja ludzi o różnych poglądach. Ważnym faktem jest też to, że mało pozostało z oryginalnego pomysłu „portalu społecznościowego” – powstał prawicowy kondensator newsów. Ludzie raczej niechętnie wypowiadają się tam z prywatnych profili.

I tak płynnie przechodzimy do drugiego powodu, dla którego portal stał się zabawny. Przy tworzeniu prywatnego profilu nie była wymagana żadna weryfikacja tożsamości. Wszyscy dobrze wiemy, do czego to prowadzi. Oczywiście – do niesamowitej ilości kont Karola Wojtyły czy też Piotra Łuszczka. Przez to, że takie konta powstały o portalu dowiedziało się więcej ludzi i ilość tego typu fejków wzrosła. Na chwilę obecną tego typu memiczych profili jest na portalu prawdopodobnie więcej niż zwykłych. Jeśli nie uznajecie powyższych powodów za dostatecznie zabawne, na koniec dodam – nazwa Albicla powstała z połączenia dwóch łacińskich słów: *aquila* – orzeł i *alba* – biały.

Weźmijmy akapit był w miarę zabawny, a to dlatego, że Albicla, mimo że aspiruje do bycia opiniotwórczym medium, w gruncie rzeczy jest nieszkodliwa. Ten akapit będzie mniej śmieszny, bo będzie o osobie, która szkodzi. Bardzo. Kaja Godek. Uważa bowiem, że rzeczona wolność to prawo do powiedzenia publicznie absolutnie wszystkiego. Jej wypowiedzi spektakularnie przeskakują, już i tak wysoko postawioną przez Korwina czy Cejrowskiego poprzeczkę. Głośny ostatnio proces o zniesławienie przez Kaję Godek społeczności LGBT+ to idealny przykład jak bardzo Polska nie radzi sobie ze zrozumieniem, że wolność słowa kończy się w momencie rzucania krzywdzących i fałszywych oszczerstw. Jeśli ktoś z was nie zapoznał się jeszcze z wyrokiem, proszę bardzo: sprawa została umorzona, ponieważ pozywający nie udowodnił, że należą do LGBT+. To już nawet nie jest śmieszne. To poważny problem w polskim prawie, bo bardzo dużo tego typu wypowiedzi można podciągnąć pod wolność słowa. Pozytywna strona tej sytuacji jest taka, że niektóre z liberalnych partii (np. Nowoczesna), zaczęły nagłaśniać temat i zwracać uwagę na poprawną definicję wolności słowa.

Nie byłbym sobą, gdybym nie poruszył tematu **protestu mediów**. Mimo że jego forma niewątpliwie pozostawia wiele do życzenia (co jest zrozumiałe, bo był organizowany na szybko i musiał zjednoczyć konkurencyjne koncerny – za co oczywiście brawo), protest ma szczytny i bardzo ważny dla wolności słowa cel. Wolność mediów to przecież wolność dostępu do informacji z różnych źródeł. To pięknie łączy się z tematem przewodnim tego Bidonu – **informacje tworzą poglądy, a poglądy się wypowiadają**. Tu wkracza wolność słowa.



Gdy informacje docierają tylko z jednego źródła tworzy się bańka informacyjna (np. Albicla) albo państwo autorytarne (np. Węgry). Podatek reklamowy spowodował katastrofalne skutki i to nie tylko dla medialnych gigantów, którzy stracą dużą część przychodów (nie żał mi ich), ale też dla obiektywizmu informacji, które docierają do przeciętnych ludzi. **A kiedy wszyscy będą otrzymywali te same informacje, wolność słowa już nikomu się na nic nie przyda.**

W tym temacie ważne jest jeszcze jedno – należy umieć odróżniać wolność słowa od wolności artystycznej. W sztuce można sobie pozwolić na więcej. Artyści powinni móc przekazywać w swojej twórczości kontrowersyjne, a także prowokujące treści. Sztuka ma szokować, sztuka ma zaskakiwać, a prawdziwi artyści powinni być wierni sobie i nie iść na kompromisy. Dlaczego o tym piszę? Bo proces Kai Godek nie jest jedynym, o którym ostatnio głośno. Adam Nergal Darski został oskarżony o obrażenie uczuć religijnych – grożą mu dwa lata więzienia. Sytuacja jest absurdalna – w porównaniu do wypowiedzi Kai Godek, Nergal jest bardzo stonowanym i uprzejmym człowiekiem (a darł Biblię na koncercie). W odpowiedzi na pozew wokalista Behemotha odpowiedział kampanią *Ordo Blasfemia*, zbierając środki na pomoc prawną dla niego i docelowo innych artystów.

Wolność słowa to piękna idea. Jest ona ważna dla mnie, dlatego że nie wyobrażam sobie nie móc wypowiedzieć swoich poglądów. To niezwykle istotne. Gdy wolność słowa zostaje odebrana, rodzi się dyktatura, ludzie stają się głupi. Nie wszysko jednak można obronić wolnością słowa – nie traktujmy jej jako prawa do szerzenia nienawiści, rozprowadzania oszczerstw. I nie traktujmy wolności słowa jako pustego frazesu.

Myślę, że to ważne.

Nie zgadzasz się ze mną, myślisz, że gadam głupoty? Zapraszam do dyskusji. W końcu mamy wolność słowa.

Wyślij DM do @odsieczwiedenska na Instagramie.

JANEK WYRZYKOWSKI GRAFIKA: KUBA BOBER